BORYS ŻABA

POEZYE

II

LWÓW
KSIĘGARNIA H. ALTENBERGA
1905

POEZYE

BORYS ŻABA

POEZYE

II

LWÓW
KSIĘGARNIA H. ALTENBERGA
1905

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

I.

TĘSKNOTA

LEDWO SIĘ SŁOŃCE...

Ledwo się słońce ubrało koroną
Lasów — czekałem tam pod okiem zorzy,
Co jak z pod powiek z pod liści szaloną
Drżała kurzawą iskier u rozdroży.

Gdyś przyszła, wzmógł się dreszcz lśniący w obłoku.
Mówiłem znowu o surowem prawie
Szczęścia, co czuwa, żeby moc uroku
Służyła wiecznie wszechwładnej obawie;

Że strojąc ciebie błękitną oddalą
Najskrytszych myśli — zacieśniam spokojną
Ręką splot prawdy i przeczuć... i falą
Szeroką cierpień prześcigam dal strojną.

Za nami jakby wdzięcznym szat układem
Giął się na wietrze połysk i w weselu
Czystego nieba szliśmy lekkim śladem
Słońca — do życzeń najgorętszych celu.

W ISKRZĄCE NOCE

Budząc się w długie i iskrzące noce,
Nim zgaśnie
W niebie meteor, gdy krwawo zadraśnie
Czoło pomroce,

Sen sobie wróżę dłuższy niźli noce,
Co ciemny
Całunem wlokły czas w jakiejś tajemnej,
Dawnej epoce.

Z uwagą w duchu jakbym słuchał wieści,
Co głucho
W szeleście gwiezdnych nocy płynie w ucho
Zagadką treści,

Sen sobie wróżę cichszy niż w pomroce
Wybuchy
Światła, co krwawią bezgłośnie świat głuchy
W iskrzące noce.

DO J. M.

Wśród napomnień tak cichych, jak szumy
Zagubione na gładkim dnie fal,
Jedno cichsze pierś raniąc Twej dumy
Chwilę błyszczy w Twych oczach jak stal
I boleśnie kołysząc takt nuty
Z drżeniem struny zapóźnych chwil złud
Dźwięk dobywa jak z miedzi rozkuty:
„Nie powraca przebrzmiałych ton nut“

Na znak dany razami w tarcz bronzu
Przez ducha, co nad życiem ma straż,
By ochłodzić na czole żar ponsu,
Na tarcz zimną położysz swą twarz,
Wtedy echo dalekie w jej wnętrze
Uciekając i wiejąc jak chłód
Zabrzmi jeszcze już słabe, pajęcze:
„Nie powraca przebrzmiały dźwięk nut“

Smutne ustępstw odkrywszy zacisze,
Gdzie bezsenność wytrwała jak cień

Wiecznym taktem przeznaczeń kołysze
Każdą chwilę życzenia i dzień,
Bez wyrazu dla uczuć zawodu
Zataiwszy myśl chciwą jak głód
Zmartwień byśmy szukali powodu,
Gdyby wrócił minionych dźwięk nut.

Więc odkrywszy jak posąg pierś losu,
Gdzie wiersz ryty wydarzeń i strat,
Uderzając w olbrzymi skłon ciosu
Z dźwięku złożym zatartych dni ślad,
Lecz bez słowa dla uczuć zawodu
Bijąc w łono przypadku jak w lód,
Nie znajdziemy strat naszych powodu,
Bo nie wraca przebrzmiały dźwięk nut.

Za to w cichym jak zmierzchy postępie
Ciągłych zbliżeń dosłyszym jak wtór
Szmer uparty jak wiatru na strzępie
Naszych skrzydeł i wzlotów i piór.
I dołączym do taktu tej nuty
Z drżeniem struny zapóźnych chwil złud
Dźwięk mdlejący, jak z miedzi rozkuty,
Bezpowrotnie minionych już nut.

Bo choć dzień nas nie minie, że próby
Złożym w jedną błyszczącą z dwóch szal
I zbudzony w Twych piersiach żar chluby
Zalśni światłem w Twych oczach jak stal,

Nie powróci jak z tonem tej pieśni,
Co drży w strunach zapóźnych chwil złud,
Nie powróci miniony głos wcześniej
Jak z melodyą przebrzmiałych już nut.

TĘSKNOTA

Na wielkich rzekach zwrotnikowych krajów
Kwieciste wyspy jakby strojne łodzie
Wiąże bluszcz sznurem do nadbrzeżnych gajów.
Krążenia wirów jak usta na wodzie

Piją nurt rwący dopływu potoków
I odpływają leniwo jak twarze
Wpatrzone w gąszcze, w zwój kwietnych obłoków
I w niebo widne przez palmy wachlarze.

Na tle jedwabnem wieczornych kolorów
Wiją się girland długich i drzew sploty,
Jakby na piersi sznurami wisiorów.

A woń z olbrzymich, ciężkich płynąc kwiatów
Włóczy się w zmierzchu siną mgłą tęsknoty
Za szumem mórz i życiem innych światów.

CZEKAM NA CIEBIE...

Czekam na Ciebie w milczącą
Godzinę czarów,
Gdy z raju zejść masz błyszczącą
Ciszą bezmiarów,

By wskrzeszać pieśnią dźwięk zwrotki
Leśnego zdroju
I płynąć szeptem gry słodkiej
Z głębin spokoju.

Pamiętam głos Twój jak dźwięki
Źródeł w krysztale,
Gdyś niknąc spięła w fałd miękki
Niebo przez dale

I czekam z gorącem tętnem
Pragnień bezkresnych,
Że przyjść masz z echem pamiętnem
Godzin bolesnych.

ZŁOTY DZIEŃ

Tlące się z ócz Twych świateł odbicie,
Jak drganie prośby w stłumionym głosie,
Tęczami kropel po aksamicie
Grało jak łzawem zwierciadłem w rosie.

Były to słowa więzione z dawna
Strachem przed szczerą zwykłością mowy,
Myśl trochę kpiąca, trochę zabawna,
Tajona wdzięcznem schyleniem głowy.

Naśladowałem chwiejność Twych ruchów
Giących się z wdziękiem skrzydeł puszystych
Żartując na głos, że jak lot puchów
Nie spoczniesz w pląsie tchnień przeźroczystych,

Jeno w dotyku pieszczącym... z dłoni
Białym ulotnym wymkniesz się puchem,
Co ciągle krążąc, ślad własny goni
Własnym się wdzięcznym wstrzymując ruchem.

Szelestem wodnej, srebrzystej wstążki
Wiążąc gałązek rozpierzchłe szmery
Dzień niby czytał z poważnej książki
Na głos — wtorując trochę nieszczerej

Rozmowie naszej. — Witaj dniu złoty!
Wiedziesz mnie morzem snów... wielkiem, cichem
W płytkość goryczy, w szał żądz pieszczoty...
Chór tęsknot tłumiąc barw swych przepychem.

☆ ☆ ☆

Wyznałaś w trwodze przed świętym obrazkiem,
Że niespokojność Twoje piersi rani,
A święty starzec z obłudną litością
Szepnął: „To miłość... mnie ją przynieś w dani“:

Lecz wnet wyznałaś przed świętym obrazem,
Że boleść drugich serce Twoje rani.
Starzec już śmielej z spokojną pewnością
Szepnął: „To miłość, mnie ją złożysz w dani“:

Wkońcu spokojną się stałaś jak kamień
A kiedy głuchą słyszałaś ze świata
Wrzawę narzekań, żalu i omamień,
Wtedy Twój spokój rozraniał Ci serce.

NIE ZAPOMNIAŁEM OTUCHY...

Wyrzekłaś się więc silnych wstrząśnień ducha
I nagłych wzruszeń ryjących się śladem
Bladych zawodów, gdy każda łza głucha
Nową jest raną i nowym przykładem.

Spokojna w blaskach mdlejących ogniska
Podpierasz ręką myśl ciężącej skroni...
Z płomiennym tańcem, gdy krwawiej połyska,
Śląc duszę w zawrót spokojnej pogoni

Za widmem, co z pól śnieżystych bezmiarów
Budzi Cię cieniem u nóg!... Majak złudy...
Bieg Cię kołysze ogromnych zegarów
Liczących przykrość, uciechę i trudy.

Nie zapomniałem otuchy, co z czarem
Ust w pierś mi wlałaś... ani Twoich własnych
Wielkich nadziei i słusznym wymiarem
Zapłaty żal mój za stratą chwil jasnych.

Los nasz jest wspólny, chociaż los dróg różnych.
Twoja spokojność i mój żal bezmierny
Łączą się w drobnych rozpaczach i w próżnych
Co dnia pragnieniach ręki miłosiernej...

A zmierzch olbrzymi, co wagę chwil dźwiga,
Skąd każdy ciężar najmniejszy bierzemy,
Jak płomień węża skrętem próżnię ściga,
Zawsze obecny i jak posąg niemy.

ŚNISZ W RAMACH TRUMNY...

Śnisz w ramach trumny cicho, jakby w tajnych
Marzeniach ślubu, co złączył Cię z ciszą
Po bólu długich walk u dróg rozstajnych.

Ze czcią głęboką i z pokorą mniszą
Chciałbym wyśledzić cierpienia serdeczne,
Co Cię spokojnym dzisiaj snem kołyszą

I widzieć Ciebie jak w sfery powietrzne
Wzniesiesz się w girland aureoli strojnej,
By Cię wzniesioną z ziemi w światy wieczne

Kochać bez granic snem duszy spokojnej.

* * *

Wtedy choć chciałaś spocząć kwiatów kępy
Durzące wonią do rąk Ci się cisły.
Choć z głuchą żądzą rwałaś je na strzępy
Zapach duszący upajał Twe zmysły,
I choć ujść chciałaś zdążał blask płomienny,
By tem lubieżniej imać się Twych skroni
I szukał Twoich ust gorący... senny
W dyszącem tchnieniu zionąc ciepłem woni.
W sutej zieleni słonecznego sadu
Jak w czar zaklęta miłosnego wiru,
Bezradna w deszczach kwietnego opadu
Stałaś w promieniach i ramach szafiru.
Pieszczoty światła do rąk Ci się cisły
I pył słoneczny drżąc wkoło Twej głowy,
Choć chciałaś spocząć, upajał Twe zmysły,
Aż rzekłaś walcząc jeszcze z brzmieniem mowy:
„Pragnę“

NOCTURNE

Blada noc czuwa nad miastem — po słocie
Ścieląc spokojność kłębami obłoków.
Myśl jest tak chyża!... Echami jak w grocie
Rozległ się nagły odgłos szybkich kroków.

Kto przebiegł? W zmierzchu ostatni krok z echem
Po chwiejnym biegu przycichł obłąkany,
A cień, co trząsł się przedemną jak śmiechem,
Spłoszył się, skoczył nagle... i wsiąkł w ściany.

Okno jak szary obraz, w głębi ciasny
Korytarz z domów światełkiem majaczy,
To dzień tam wstaje przeźroczysty, jasny
Jak w łzie lub może ktoś płacze i patrzy.

I zdaje mi się, że spokój ten okiem,
Co smutnem bezdnem wyrzutu mnie bada.
Stłumione tętno napływa w dom z mrokiem. —
Gdzie zawsze chwila miniona przepada?

II.

DLA DZIECI

ZE WSI

Przez wzgórze z za ciemnych wstęg niwy,
Jak z żartów przez ramię leżącej
Osoby, zagląda jak żywy
Brzeg słońca błyszczący,
Złośliwy.

I plamą po drzewach się łamie.
Dłoń niby wyciągnął ukradkiem,
Dotyka... Komarów kłąb w plamie
Tęczowym drży płatkiem
Jak w bramie

Świetlistej, a niżej tumany
Na wielkim się wodzą okręgu,
Jak tabun rumaków w łąk ściany
W promiennym zaprzęgu
Wegnany.

Spokojne wśród gąszczów mkną rzeki
Spieczoną twarz chłodząc wybrzeża

I niebo chcąc zatrzeć wypieki
Skrzydłami uderza
Powieki.

Już schyla się chmurnym ciężarem
Zły spokój wieczoru, sny duszne.
Zmierzch dobry pulsuje zegarem,
Przestanie łkać dziecię posłuszne.

KRAJOBRAZ

Przed domem na łanie, gdy powiew z traw wstanie,
Świetlanych plam blaski
Płynne jak oczy w otworach lśnią maski.

A sosna w gałęzi słoneczny krąg więzi
Kołysząc się chmurą
Barw — jak olbrzymie tkwiące pawie pióro.

Na tle białe brzozy schodzące w wąwozy
Po drugiej znów stronie
Spoczęły lasem, jak postać, co dłonie

Złożywszy pod głowę, wciąż myśli gna nowe,
I marzą gór zbocza:
„Raz się nam śniła bajka tak urocza.

DZIEŃ WCZORAJ BYŁ CICHY...

Dzień wczoraj był cichy jak chory przytomny.
Dym krwawy o zmierzchu się błąkał ku niebu,
Mgłą w górze się rozlał na twarzy ogromnej.
Zgiełk wzrastał przechodniów idących z pogrzebu.

O równię ścian odgłos rozbijał się kroków.
Nie pomnę, gdziem słyszał ton uciech i gwaru.
Jak szare kamienie błyskają wśród mroków,
Tak jasną jest pewność, ma otchłań barw żaru.

Samotność-bym złożył w dłoń Twoją jak modły...
Tak dawne. Dzień wraca, że chorzy przytomni
Źle patrzą w te drogi, co w życiu zawiodły.
Zmierzch, matka litości, on chorych napomni.

O Panno Najświętsza z obrazku... w Twej dłoni
Są kwiaty z dziecinnej krainy! Pomoże
Nam głos Twój? Wnet wieczór Cię płaszczem osłoni.
Dzień cały był cichy, jak uśmiech w pokorze.

Przed nami tajemność z zacięciem osoby
Ruchliwej — zamiary nam pędzi jak puchy;
To sypie wał nudy, to kopie wszerz groby,
Kapryszące wrażliwym dodaje otuchy.

DLA DZIECI

W dalekiej bajeczek krainie
Tłum siada wieczorem w gwarzące półkole
I wietrzyk z kurzawą pod rękę przypłynie
I stary drogowskaz wytarty na czole.

Tam bawią się świetnie. Na dobroć humoru
Działają dowcipy śmiesznego miesiąca,
I mgła się kołysze, córeczka wieczoru,
W podrygach, z urazą i cienia twarz śpiąca.

Pocichu, na palcach mknie rosa wieczorna.
Ją zawsze za niebem żal wielki owłada,
Więc pada w tłum gości ze łzami, pokorna,
Aż każdy wzruszony, twarz skłoni, z nią gada.

A wreszcie pajęcza nić zbiera sekreta
I z szczerą powagą od ust do ust płynie.
Tak grzecznie się bawią i jest etykieta
W dalekiej bajeczek krainie.

Mnie bojaźń przejmuje, że znikną te tłumy,
Com nimi oplątał twe myśli jak w sieci,
Że zniknie wraz z nimi tajemność zadumy;
Nić zerwiesz z niechęcią: „To dobre dla dzieci"!

Przed wielu już laty żył starzec zazdrosny
I miał ze swą żoną przygodę zabawną...
Żył w innym znów czasie człek stary, radosny,
Pił zdrowo, zmarł z śmiechu, i to było dawno.

Zarzućmy powiastki, blask lśni na twej głowie,
To w lotnym obłoków jeziorze łódź tonie,
Skrzydlata łódź światła a o niej ci powie
Ten promień, co w chmurach załamał swe dłonie.

Przychodzi pod okno król bajek w purpurze,
Potulny tłum zmartwień o radość go błaga.
Na dworze ruch, cienie strzępami mkną duże.
Król patrzy, zajęła go nasza powaga.

Na świecie zgiełk. W mrokach po drzewach noc siada.
Dzień z gwiazdy światełkiem przygląda się zdala
A ciemność się krząta cichutka i rada,
Swem tchnieniem po ziemiach chałupki zapala.

Tam siedzą przy ogniach. Zmarszczone swe ręce
Staruszka stuliła — cichutka godzina
Po pracy lat wielu — śni bajki dziecięce
Zacisznie, lecz w świecie zgiełk wielki się wszczyna.

Ogromna, serdeczna się budzi zabawa.
W dal ciągną szeregi z szalonych chwil szczękiem.
Śmiech, żądza i przestrzeń porywa się mgława,
By niespokojności nakarmiać się dźwiękiem.

Więc lecę ciekawy, nieznaczny w te drogi,
Odwiedzam dom każdy, co ludzi zamyka.
Hej dzieci! kto prędzej! zdobywać nam progi
W świat bajek... najmniejsze na progu utyka.

Gospodarz swe dzieci pozganiał w kąt z ławy,
Zdziwiony zaprasza i woła na żonę.
Nieśmiałe drobiazgi drżą z pragnień... z obawy,
Na gwar nasz oczęta kierują zmrużone.

My krzyczym na wyścig i chór nasz wyzłaca
Rozległe krainy... tam łuna nad łanem,
Tam głuchy na krańcach ziem szmer się zatraca —
I z domu wypadłszy, znów pędzim tumanem.

A przed tem okienkiem, gdzie w domu dziewczyna
— Zmarł ojciec niedawno — z swą matką się swarzy,
Tam szeptać będziemy i znikniem a sina
Mgła ledwie zostanie na szybach od twarzy.

Ku ciemnym granicom krainy, przez drogi,
Co skrętem tajemnym zniknąwszy znów płyną
Za domem, skąd bożek tułaczki złowrogi
W dal patrzy, w odległość pogonim z nowiną

Mijając parowy, gdzie późnym wieczorem
Krzak karzeł z pagórkiem się schodzą obozem,
Płot stary i pustka dróg siwych z swym dworem
Lub przestrach przed ciszą ucieka wąwozem

W dniu szarym... bez końca. Wiatr wzniósł nas. Pod
Daleki gwar przestrzeń opasał. W przebiegu [nami
Lśni łuna wydarzeń i ziemi krąg plami
W noc... na sen stareńkim u progów noclegu.

Tam cisza wśród domków. Dom jeden się świeci.
Żar w oknach się pali, to orszak świec tłumny,
Już dnieje... podejdźmy na palcach... przeleci
Cień — to nic — zachwiał się świec płomień u trumny,

Po łące migotał, po stawie, w głębinie
I przepadł... Hej dzieci! już dnieje, czas starej
Co z świtem wychodzi a kiedy was minie,
To grozi i za śmiech obmyśla wam kary.

A w pustej jej izbie dzień siny po murze
Zmęczone swe skrzydła wiesza i leniwa
Ćma światła zmartwiała jak oczy z szkła duże.
Śpi krnąbrna służąca w izbie jak nieżywa.

My lećmy na pola dzieci! Tam wiatr rośnie,
Ma skrzydła z kurzawy jak wiry na piętach
I hula... przypada pod ciszę ukośnie
Niewidną, złą, głodną, co czyha na skrętach.

POD KONIEC DNIA

Czas był błękitny, drżał rozpięty struną
Oczekiwania. — Czas letni, zapalny
Jak bicie serca falował wszerz łuną
Pyłów — a w niebie w ręce niewidzialnej

Rzekłbyś, że dźwięczą cicho dzwonków pęki,
Zanim wybuchną wrzawą łkań i śmiechem.
W palcach wszechmocnej i ostrożnej ręki
Błyszczały dzwonki dźwięcząc jakby echem

Przyszłej gry swojej. Myśli w takiej porze
Błądzą przejrzyste wśród tchnień światłonośnych.
Przystają jakby przy szklannym otworze
Śledząc bieg z widzeń i stąpań bezgłośnych.

To uroczysta chwila, co szeleści
Jak spływające, czyste blasków deszcze.
Chwila, gdy słabym zmyśla się powieści,
W upał złożonym przez niemoc i dreszcze.

Wiecie to słońce, co tryska wśród liści,
To tafla szklanna, co prysła tysiącem
Szpar, — coraz bliżej pęka i srebrzyściej
A przez nią gwiazda lśni okiem mieniącem.

Szybę tę rozbił raz anioł stróż świata
Stroskanem czołem, gdy ujrzał przez szare
Niebo jak małą pilności zapłata,
Dzisiaj świat lepszy błyska tam przez szparę.

Spieszyć się musim, nim wieczór zasłoni
To okno krajów cudownych. Tam głosy
Stłumione dzwonków z niewidzialnej dłoni
W raj nas wołają!... Już pada chłód rosy.

MODLITWA

Wtedy Cię lekką spostrzegam w przeźroczu,
Gdzie chór swawolny nad Tobą ulata
I wiecznie patrzę, choć znikniesz mi z oczu,
Aż w skroń ciemnego uderzy Twa szata.

I tylko czasem tuż za mną Cię słyszę
I tłum Twój z Tobą na palcach się skrada.
Rzucasz siew lśniący obietnic w tę ciszę,
Gdzie się obraca ma chęć i bezrada.

Czasem Twa mowa jak pomruk potoku,
Co się w mech lekko zapląta i zginie,
Najdzie mnie z wiatrem podobnym do kroku
Tego, co szuka źdźbła złota i minie.

Nieraz, gdym słuchał w świątecznem szczęść gronie
Śmiesznych powiastek i szmeru zabawy,
Tyś pusta kładła przed okiem mem dłonie,
Abym rozróżniał Twe słowa wśród wrzawy.

I znów zmuszałaś mnie śledzić Twe ruchy,
Gdy odpłynąwszy w puszystej zbóż fali,
Na widnokręgu z lśnień wiłaś łańcuchy.
Gdzieś jest jam odgadł po drżeniu oddali.

Jesteś jak dziewczę bez dachu i drogi.
Z Twem przejściem kształt się dziwaczny mnie w kurzu.
Nie tam! wołajmy... zburzone tam progi!
Srebrny zdrój wysechł na śnieżnem chmur wzgórzu.

W dzień śmiechu błędne ogniki dogonię.
Tymczasem z dziećmi pod Twoją obronę
Uciekamy się... Obietnic brzask płonie
A tylko ręce wznieść mogę skrwawione.

MANIA

Mania jest dzieckiem nad wiek rozwiniętem,
Cięta niezwykle w odpowiedziach. Mama
Lubi przytaczać jej słowa i mówi,
Że w swej młodości była taka sama.

Raz powiedziała Mania w licznem gronie
Skręcając główkę i śmiejąc się skrycie,
Że jej serduszko tak bije i boli
I że całować lubi się nad życie.

A kiedy mama chwaląc jej przymioty
Tkliwie spytała nad czem główkę łamie?
Rzekła poważnie ku uciesze gości:
„Przyglądam się mamie“.

VITA SOMNIUM BREVE

Pójdziemy w taniec porywczy, zawrotny
Przez ludne drogi... uwodząc zabawą
Skostniałe myśli istoty samotnej,
Błędnych żebraków uciechą jaskrawą
Wabiąc ku naszej rozwiązłej gromadzie.
Potrząsać będą szczudłami kaleki
W pocieszych zwrotach tracąc miarę sztywną
Powagi. — Radość żywiąc głośną, dziwną
Pójdziemy w taniec obłędny, daleki.
Śmierć dobra rękę nam na czole kładzie
Jak smutna matka kojąc myśl spłoszoną
Serc na ból zdanych przez igraszkę losu.
Zatem współcierpiąc, tłumiąc smutek głosu
Mówić będziemy o rzeczach ulotnych,
Bawić się grubą, żałobną zasłoną,
Co tai przyszłość i tłumiąc jaskrawą
Wesołość myślą o dniach bezpowrotnych
Wokoło trumien uśpionych dzieciątek

Zbierzmy się cichą, niewinną zabawą...
Życie sen krótki, co klei powieki,
Jakby nużący i przykry początek
Na skręcie drogi nowej i dalekiej.

W ROCZNICĘ

Wieczór, gdy drzewa świecą jak gromnice
A łuna łachman krwawy ciągnie w bory,
W niezapomnianą, świetlistą rocznicę
Nadziei naszych, z różowym tchem pory
Łagodnej... zejdziem w rozległą dolinę,
Gdzie wokół wzgórza otulą nas gwarem
I gdy uśpieni poważną tą strażą
Przejrzymy, gałąź wahając zegarem
Nam będzie i w sen złoży nas swą twarzą.
Wieczór, gdyśmy dzień przeszli jak głębinę,
Jest to jak święta pierwszych trosk rocznica.
Nad nami niebo spogląda łaskawe
Jak Bóg, co o dłoń śnieżną chmur wsparł lica,
Ku naszym głowom biednym swą obawę
Zwraca i czoło zmarszczywszy obłokiem
Zmierzchem się schyli nad ziemią jak głową
I jeszcze blaskiem zatoczy jak okiem.
Tacy samotni jesteśmy... cisz mową
Nas nie ukoić... Choć w mądrej pokorze
Z chwil przeźroczystych i marzeń różaniec

Snujemy i w głos wielbimy to morze
Przypływów serca, nie wyjrzym za kraniec
Głębin i dali, bo z dawna zła wiecznej
Prawdy się bojąc garniem się do czasu,
Gdy nas w maleństwie uczono koniecznej
Uciech granicy... Kłamstwa i hałasu
My balim się wtedy i nagłych mgnień oka,
Żeby uwagi nie spłoszyć drażliwej,
A sen dni przyszłych spoglądał z wysoka
W świat jak w brzeg pod mórz niebieskich przypływy.
Zdobim jak w wielką rocznicę bez mowy
Mogiłę, lampki stawiamy do rzędu.
Nasz zmarły zawsze był z nocą niezdrowy.
Święcąc dzień zwątpień naszych, kar i błędu
Wiemy jak ufność się opłaca drogo,
I ci, co wszystkich nieprawd się nauczą,
Są jak te twory mdłe, przezwane trwogą,
Co w jesień z liściem się lecącym włóczą.
Nad nami niebo troszczy się łaskawe
I cień w przestrzeni szerzący się zwolna
Jak dłoń, co z czoła zetrzeć chce obawę.
Lecz myśl nieufną, co jest jak niezdolna
Do walki starość, snujem jak różaniec
I w głos pytamy dlaczego to morze
Przypływów serca? dlaczego ten kraniec,
Co nęka błędem złamanych w pokorze.

* * *

Masz długą i wiotką szatę
Poważnych, pięknych pań
I głuchą jak grób komnatę,
Gdzie długo brzmi odgłos Twych łkań.

I masz zwierciadło, gdzie mowę
Spłakanych śledzisz ócz
I nieraz wspierasz swą głowę
O skarb — złoty trzymając klucz.

I jak osoba dorosła
Żyjesz wśród zwątpień... trwóg,
Co pustka w serce Ci wniosła
A serce Ci wielkie dał Bóg.

Lecz gdy Cię uśmiech nawiedzi,
Jak echem słów i zdań,
W bezwiednej to odpowiedzi
Będzie dla mych zwątpień i łkań.

PAJĄK

Otaczam krople srebrne, poranne
Nitkami tęczy
I jak okienka wprawiam je szklanne
W mój dom pajęczy.

Na moją przędzę w dzień z drzew się zlewa
Pogoda zmienna,
W noc z za mej siatki lśni w dziuple drzewa
Jak lampka ścienna.

Czasem się liści spodem przesunie
Promień miesiąca
I jakby błądził po wiotkiej strunie
Sieć mą potrąca.

I chociaż nieraz szmer drzew przerywa
Krańce mych nici
I długie, nikłe sploty przędziwa
Wiatr w lot pochwyci,

Bez wypoczynku przędę sieć cudną
W połyskach tęczy,
Aż ziemię nicią omotam złudną
Pracy pajęczej.

PRZESTRZEŃ

Przez wzgórze to przeszedł i duże
Zostawił ślady swych stóp: ławy piasku.
Wśród lasów zdeptanych od wielkich obcasów
Powstają drzewa strząsając deszcz blasku.

We wodę jak w lustro nachylił pogodę.
Masą paciorków upuścił ją w fale
I z węża giętkością swe sploty rozpręża
Rzeka błyszcząc jak starte szkło na skale.

W oddali, gdzie przestrzeń drży, wije się, pali,
To on tam leży. Przez szkła patrzą oczy
I one tak świecą po brzegach złocone
Pożarem słońca, co w lasach się toczy.

Z pozoru spoczywa jak cielsko wieczoru.
Chmury rozpięte przez niebo to duże
Olbrzyma rękawy, co wicher wydyma
Jak ręce splotem sterczące ku górze.

III.

CARITAS

SYRENY

Na rafie w barwach zgubionej przestworza,
Z wyspy dla ludzkich istnień niedostępnej
Wtórując szumom przeciągłym fal morza
Rzucają w przestrzeń śpiew cudny... posępny.

Na wpółuśpione melodyą swych głosów,
Błyszcząc jak nagie posągi z marmuru
Strząsają iskry morskich pereł z włosów,
By znów się uśpić jękiem swego chóru.

Gdy tonie statek zwabiony ku skale
Fatalną mocą czarodziejskiej złudy,
Ku piersi twarze skłaniają niedbale
Snem odurzone i bezmiarem nudy.

Lecz gdy na bladej smudze lśnień księżyca
Zjawia się okręt-widziadło, na drogę
Jakby z ócz czaszki rzuca blask kotwica
Po morzu wiodąc szkieletów załogę,

Wstają syreny — kamienne ich łona
Wstrząsa dreszcz chciwy — i pragną tajemnie...
W serca porywie tęskniące ramiona
W świat wyciągając za marą daremnie.

JEZIORA GÓRSKIE

Jak dwie nierówno obciążone szale
Wagi u niebios zawieszonej szczytów
O biódr skalistych zrąb hartując fale,
Jak na dwóch schodach leżą wśród granitów.

Może zastygła w dzielącym je progu
Postać olbrzyma, co padł tu w pogoni
Za rodem bożków i złorzeczył Bogu,
Trzyma je w sztywnych zagłębieniach dłoni.

Z wyżyn skalistych jak przez tęcz witrażu
Płynie słup prochów słonecznych i w ciemnych
Zrębach skał blednie na wielkim ołtarzu.

Jak rząd filarów kościelnych lśnią szczyty,
A brzeg jeziora w głębinach tajemnych
Okiem piór pawich odbija błękity.

DOLINA GÓRSKA

Dwie skały stoją jak odrzwia. Na przodzie,
Na ścianie górskiej sterczy las z granitu,
Bogów kamiennych rząd, każdy u szczytu
Wyraźnie chowa twarz wśród mchu jak w brodzie.

Z boku w dziwacznym bez ruchu pochodzie
Figur przewodzi rycerz. Koń z kamienia
Wrósł w darń i w trawę wbił się kształt strzemienia
Nad tym orszakiem zamek chmury bodzie.

W noc szmer powstaje jak wśród mar. Dolina
Budzi się. Pierwszy rycerz konia spina
I z strzępem ziemi do biegu się zrywa.

Niżej wszczepiona w granit twarz porusza
Cicho ustami. Księżyca blask spływa
Z najwyższej skały z drżeniem pióropusza.

CENTAUR W KUŹNI
(WEDŁUG OBRAZU BÖCKLINA)

Z wąwozów, kędy skalne niosły drogi
Kamiennych podków tentent w głąb dąbrowy,
Wypadł z rozwianym włosem grzywy płowej
Centaur — i wbiegłszy do wioski ubogiej

Wsparł na pniu w kuźni kopyto spiżowe.
Tu okazując puste miejsce w rzędzie
Gwoździ, — skąd jeden wypadł starty w pędzie,
Prosił, by wbito gwóźdź złoty w podkowę.

Bezradny kowal nie pewien swej wprawy
A chcąc się podjąć niezwykłej roboty
Próbuje wyzbyć się kornej postawy.

Gawiedź zaś liczna zadziwionych chłopów
Śledzi olbrzyma, co gwoździe i młoty
Dla siebie znaleść mógł w kuźni cyklopów.

SEN PROMETEUSZA

Skuty ogniwem silnem jak ład w dziele
Świata, co łączy je zwartym łańcuchem,
Związany z losem ziemi, będąc w ciele
Jej biernem wiecznie czuwającym duchem,

Zdeptany w walce z porządkiem wszechbytu,
Co nad nim jarzy się w niebios półkolu,
Śni Prometeusz do słońc i gwiazd szczytu
Zwracając oczy zmrużone od bolu.

I bez nadziei kresu w trwaniu męki
Zwiększonej żarem wzgardy dla gromady
Żyjących, — mściwej nie mogąc wznieść ręki
Nie życzy nawet tej ziemi zagłady.

Jeno tu zdala od życia... weselu
Jego złorzecząc, bez łez dla niedoli
Śni o bezkresnych szczęść wieczystym celu
Z czasu, nim świat się zbudził do swej roli.

Tłumiąc ból — skrzydłem roztacza myśl senną
W przestwór bez granic, by przedrzeć głąb nocy
I gdy się zerwać chce w przestrzeń bezdenną,
Budzi się skuty, samotny, bez mocy.

Wtedy oddala się od dziejów świata
Z pod niezmrużonej nigdy w sen powieki
Patrząc w oblicze czasu, swego kata
I widzi tylko lata mściwe... wieki.

Z KLASZTORU KAMEDUŁÓW POD NEAPOLEM

Dla tych, co idą bez przerwy jak ściany
Ognia i z dymu chcą, z tej ognia piany,
Układać wielkie nadzieje i losy
A cień pewności dzierżąc jak za włosy
Włóczą płomieniem, tych czekają dziwy
Cudownych krain, lecz Bóg litościwy,
Co dobrym wzrokiem prowadzi ich kroki
W próżne dnie zgryzot lub w chwałę epoki
I w nieśmiertelność, wybiera też innych
Zgonionych drogą, zbłąkanych i winnych
I dobrą ręką przywiódłszy do brzegów:
„Oto“ — wskazuje — „świat prób i zabiegów“.
Z jasnym uśmiechem przy dobrym uczynku
Darząc ich niczem i światłem spoczynku.
Dzwony w otchłani bijące i zgodne,
To przestrzeń. Żagle jak świece podwodne,
Co trysły białym płomieniem z pod fali,
Drżą w morzu srebra, błękitu i stali
I jakby z szybkiej, wirowej pogoni
Wryły się skrzydłem i żądłem w chłód toni,

Zawisły mrowiem jak muchy. W półkole
Przejrzyste morze rozlane jak pole
Niebieskiej runi z koroną u brzegów
Falistej piany jak z waru lub śniegów.
Na wyniosłości jak pomost szerokiej,
Gdzie brzegi wiatr starł a zszarpał jej boki,
Wznosi się klasztor. Przybrane drzew rzędem,
Co strzegą przepaść jak w śnie lub z obłędem,
Wzgórze brew marszczy. Na dole w zatoce
Jak w czystem źródle nieba na opoce
Blask słońca bardziej zaświeci i pryska
Jak kropla. Złudna kraina tak nizka
I tak maleńka. Rząd gór jak stawiany
Dziecinną ręką a między ich ściany
Olbrzym upuszczał mijając te szczyty
Garście kamyków lub but miał podbity
Gwoździmi... ślad wyrył... to miasta. Przed wschodem,
Jak skrzydłem, dzień tu uderza w twarz chłodem
I rozdzierając zwolna zmierzch nad dołem
Odsłania ziemię z uwieńczonem czołem
Przez sławę. Ziemię tę zdobi wawrzynem
Drugi już naród. Tu myśl: czyim synem
We świat się wchodzi? gryzie ciszą dali
I światłem nieba. Wśród srebra i stali,
Pod stopą góry płomienia i lawy,
Jak szum daleki i potok tęcz mgławy,
Leży Neapol. Z góry mu przyświeca
Ognisty wianek strzegąc jak gromnica
Miasta, co kręgiem łusek i koloru
Wije się. Nieraz jasnego wieczoru

Gwar uroczysty bije tu z doliny.
Wtedy wędrowiec ogląda dym siny,
Co po przestrzeni śle fale pajęcze
Dziwiąc się w duchu, czy jakie poręcze
Niewidnych statków powietrznych, czy z dymem
Kroci kadzielnic mgła mknie przed pielgrzymem,
W niej jakaś postać niby dłoń zamyka
Lub mignie biały habit zakonnika:
Memento!... Wieczór patrzy na nas w dole
Tysiącem oczu światła jak na czole
Bogini nocy taśmą gwiazd. Ramiona
Tulą zatokę do piersi... rozlśniona
W dali nad morzem wstążka miast, to ręka
Jej lśni w pierścieniach, przygasa i pęka
Jak blask rakiety, a wstecz na równinie
Ciągnie się tułów wężem chmur i ginie
W ciemności. Z nocnych zjawisk i oparów
Powstaje łańcuch przeczuć. Ciemny parów,
Co stopy góry klasztornej okala,
Cały się w górę wyprężał jak fala
Piekielnych cieniów. „To za naszą winę“
Szemrało i znów mrok pierzchał w dolinę.
Więc chciałem ujrzeć ruch tej dobrej dłoni,
Co drze ciemności i wiedzie w pogoni
Za dniem spoczynku. Czy tu w białym stroju
Świętego ojca jakby Bóg spokoju
Zbliży się do mnie duch wiedzy i ładu?
Gdy kraj ten stworzył wulkany dla śladu
Przejścia swojego wznosił wzdłuż swej drogi
I palcem wybił otwór dla pożogi.

Dziś góra królem z zaognionem czołem
Włóczy, jak płaszczem śmiertelnym, popiołem.
Na wyniosłości jak pomost szerokiej,
Brzegi jej wiatr starł i zszarpał już boki,
Spoczywa klasztór jak statek rozbity,
Rzucony w jasność, w pustkę i błękity.
Na dole miasta jak gniazda jaszczurek
Z barwnych kamyczków lub listków i wiórek,
Ledwo je słychać... a tutaj wśród ciszy
Czasem zakonnik drugiego posłyszy
I szybko przejdzie z trwogi przed otuchą
„Memento mori" wymawiając głucho.

STATUA

W odległym zakątku ogrodu, wśród krzewów
Kamienna bogini ukrywa się smutnie
Bez woli się zmianom poddając zalewów
Deszczu i słońca. Czasem gałąź utnie

Ciekawy przechodzień i w świeżej zieleni
Oglądnie jej ciało szare. Motyl spocznie
Przy sztywnej jej ręce na kwiatku z promieni,
Jak lekki liść wiosny wracając dorocznie.

Na szyi jak sznurek szmaragdów mech rośnie
Po zimnych całusach rosy, bo noc głucha
To wspólnik jej uciech. W dzień, gdy ptak miłośnie
Z ramienia jej śpiewa, twarz skłoni i słucha.

I czasem huragan zerwie stos gałęzi
Do nóg jej w ofierze lub słońce poranne
Majacząc wśród drzew się rozedrze... uwięzi
I patrzy jej w oczy od nocnych słot szklanne.

Wokoło jej piersi bluszcz tuli się splotem
Rozkosznym i listkiem u ust jej drży w wietrze
A w krzewach jak śmiechem zabłyśnie przelotem
Przejrzystych swych skrzydeł dyszące powietrze.

Lecz ona bez ruchu stoi w cieniu drzewa,
I kiedy wokoło jak kurz rosną kłótnie
Gałązek i światła i szmer się przelewa,
Nad nagiem ramieniem przechyla twarz smutnie.

CAPRI

> O Neapolu, gdzie jest twoja dusza,
> Bo duszą twoją nie jest ruch i życie.
> Patrzę na ciebie z grobu Wergiliusza
> A ty na nieba i na wód błękicie
> Tak roztopiony w zorzy malowidła
> Jak upuszczona na brzeg bańka z mydła.
>
> Słowacki.

Wniosły nas fale — ścieląc się przed łodzią
Jak lśniące muszle i goniąc powodzią
Grzyw białych, szturmów morza i pokłonów —
W przybytek tajny syren i trytonów.
Niebieska otchłań!... U sklepienia groty
Znać skamieniałe ramion i ciał sploty
Z łuku filarów, co zanikły w skale
Ścian — podające rubin ust, korale.
Toń kryształowe rozlewając farby
Zwierciadłem kryje zgromadzone skarby
Przez bogów morza. Tu z kamiennej ławki
Nimfa igrając dłonią w szkle sadzawki
Srebrzystym bawi się ciała odbłyskiem
I niknie szybkiem w szczelinie zjawiskiem,
Gdy głośny orszak nereid ją spłoszy
I bogów, co tu szukają rozkoszy
W błękitnej grocie. W zabawie lubieżnej
Światłem się kryją deszczu piany śnieżnej

I przedrzeźniając pluskiem wód szum morza
Schwytane nimfy na kamienne łoża
Wiodą. — Jakgdyby z muszli dużej wnętrza,
Gdzie otaczała nas zamglona tęcza
Cieniów i barwy, wypadliśmy z jamy
Skalnej skrzydlatą łódką... Jak krąg plamy
Olbrzymiej ciągło się morze szeroką
Mrugając taflą w promieniach jak oko
Zamknięte w złotem wybrzeży półkolu,
Jak tarcza u stóp białych Neapolu.
Za nami wyspa piętrzyła gzems złomów,
Gdzie zawieszony jak gniazdo rój domów
Widny to skryty w załamaniach szczytów
Zdawał się pełzać i czepiać granitów.
Słońce na gruzach willi Tyberyusza
Kładzie promieni wieniec i porusza
Kurzawą ruin... a głaz w krwawej łunie,
Jak postać w todze śniąca zanim runie
W przepaść — posągiem grozi martwych wieków.
Na skale z blasku gorących wypieków
Wstają zaklęte przeszłości zjawiska.
Gdzie wirem świateł kurz słońca połyska,
Tańczą bachantki. Na rafie wśród fali
Zagrał im tryton na muszli z korali.
Nad orgią tańcu bez ruchu jak mara
Stoi cień groźny rzymskiego cezara
Zagasłym wzrokiem mierząc kraj zorany
Pługami czasu, zabliźnione rany
Zwalisk i szczątków. — Powoli omdlewa
Igrzysko blasków. Z krzykiem błędna mewa

Okrąża kolumn rząd, te nagie żebra
Szkieletu świątyń, lśniąc skrzydłem ze srebra.
Coraz samotniej wśród tych martwych świadków
Zmarłego życia. Jak z księgi wypadków
Czytając z gruzów ciąg walk i zabiegów
Stuleci... usta zbliżałem do brzegów
Czary wieczności. Pragnień i zachwytu
Dymy z niej pijąc, widziałem kres szczytu
Upojeń sławy, co schodzi do roli
Zwykłych nadziei... ożywia i boli
A oznaczywszy raz miejsce i imię
Narodów w zmiennym, rozpostartym dymie
Czasu — pozwala, by mnich jej zakonu
Pieścił się snami miłości i zgonu.
Około wyspy jak wstęga kurzawy
Droga w szpalerze cytryn i agawy
Spaja urwiste wybrzeża obręczą.
Tu się zasłuchać jak podkowy dźwięczą
Silnych rumaków, jak rzymska kwadryga
Z prądami morza o zakład się ściga.
Ze sprych mosiężnych szalonym obrotem
Niby na słońcach toczyć się ze złotem
Światłem rydwanu, tarczy i uprzęży
I tłumiąc wrzawę myśli, czy zwycięży
Bieg nasz — rumakom ścigłym puścić wodze,
Aż ślad zatarłszy tumanem na drodze
Wpadniemy w otchłań spienionego morza
Pragnąc dróg szerszych... głębin i przestworza.

CARITAS

W niemym ogromie ciepłej nocy wschodniej,
Wśród ram portyków, gdzie zmianą połysku
Jarzy się wieczny blask gwiazdy przewodniej
Przez szeleszczący kryształ wodotrysku,

Postać stworzona z żądz piękna stuleci,
Można potęgą słodyczy niewieściej
Do nagich piersi tuląc główki dzieci
Leniwą ręką niemowlęta pieści.

Jedno kraj stroju odchyla, gdzie wstęga
Szaty — pierś kryje, drugie ssie jej łono,
Najchciwsze śmiało po usta jej sięga.

W marzeniach skrytych... ona tchnienia słucha,
Co lekko nocną wstrząsając zasłoną
Mówi: „Są ludzie, jest żar... jest głód ducha“!

IV.

...I mourn not that the desolate
Are happier, sweet, than I,
But that you sorrow for my fate
Who am a passer by.

E. A. Poe.

IV.

„I mourn not that the desolate
Are happier, sweet, than I,
But that you sorrow for my fate
Who am a passer by.

E. A. Poe.

W rozkoszny, cichy dzień wiosenny
Olśnionych szczęściem wiary
Łączy nas lśniący snop promienny
Przejrzystą dłonią mary.

Budzi się ufność jak wzrok senny,
Co noc z gwiazd lotem prześni.
W miłości cały świat promienny
Podnosi pierś jak w pieśni.

W miłości kreśli lśniącem piórem
Wyznania słońce ziemi;
Śnimy — złączeni z głośnym chórem
Miłością — drżący... niemi.

DO CELU

Otóż na przyszłość z wymowy stłumionej
Długich zamyśleń i dalekiej wrzawy,
Kiedy wrażenie jak ognik jaskrawy
Drze giętkiem ostrzem lekką sieć zasłony,

Układać będę całe linie... strony,
Gdziebym obłąkać zdołał wzrok ciekawy...
Budząc wrażliwość wzrostem tchnień obawy,
Tętno dnia słysząc, cicho brzmiące dzwony.

I ustawiając pogiętym szeregiem
Różne postacie wyśnione na jawie
W tłum podejrzliwy, ucieszny, żebraczy,

Wciąż dążyć będę tym ruchliwym brzegiem
Ku nieopatrznej, rozwiązłej zabawie,
Co gości tylko na drodze tułaczej.

B. E.

NIEPOKÓJ

Słyszałem niegdyś opowieść naiwną.
Tok słów brzmiał lubo jak poczęty z głosów,
Co w nieskończoność chwili wabią dziwną
W przededniu ważnych zdarzeń i zmian losów.

Słuchałem tonąc w przeczuciach odwiecznych,
Jak przed wznoszącą się wielką powieką,
Co tając w głębi potok słów serdecznych
Niemą nad wzrokiem schyla się opieką.

Wrażliwym słuchem w bolesnej rozkoszy
Śledząc bieg rzeczy znanych mi do syta
Nie mogę zmienić ich ubogiej szaty.

A gdy ton cierpki nikłe cuda spłoszy,
Kiedyż znów — żebrzę — wieść luba zawita,
Co myśli budzi wciąż odnową straty.

SPRÓSZONE OKNA

W oknach przymglonych... izb kurzem i parą
Kwiatki z papieru wśród ładu rupieci
Stroją doniczkę wstążką ozdób szarą.
Zepsutej lalki twarz szkłem barwy świeci.

Przeszłej zabawy rozgląda się marą
Przez welon cienkiej i rozdartej sieci
Pająka. — Gazę firanki wzdął starą
Kurz słońca w izbę płynąc... i skry nieci.

Patrząc przez okno w dom... słyszy się echa
Słów, co przebrzmiały. — Zgasła radość życia
Jeszcze się chętnie i nudnie uśmiecha,

Skwapliwie z żądzą pozorów w dom prosi
Przechodnia, co w niej spostrzega odbicia
Swej nudy i lęk jej z sobą unosi.

PUSTY DOM

Naprzeciw mych okien dom stary i nizki
Pod dachem skrzywionym jak biegun kołyski
Kaleczy bok rynny wyciągał jak rękę
I patrzył drzwi jamą jak wzrokiem zgaszonym,
A dach miał jak szczękę lub biegun kołyski.

W pamiętnym złym roku wśród pory wciąż zmiennej,
Gdy nieraz czas rano bez barw jak kamienny
Przynosił w dzień burzę i znowu zmierzch krwawy,
Gdym nieraz w mym domu płacz słyszał za ścianą,
Puls żmudny obawy nad chorym codziennej...

Śmierć wówczas władała na naszej ulicy
I często w noc późną drżał płomień gromnicy,
Jam siadał przy oknie i słuchał godziny.
W dżdżu zegar na wieży jak oko w łzach moknie
A dołem w mgle sinej drży światło gromnicy.

Raz przyszło mi na myśl wśród ciszy wieczornej,
Że w domku naprzeciw jest biedak pozorny,
Co może przeklina po nocach złe mary,
Że pamięć go nęka lub czeka nowina,
Lecz dom stał wciąż stary, pusty, jak pozorny.

Świat w naszej dzielnicy był zawsze ponury.
Rósł cmentarz u okien, mur krzyże i mury.
Myślałem napróżno, czy dom ten kostnica,
Lub mieszka w nim stara, co żyje jałmużną
I zmięte ma lica bruzdami jak mury.

A kiedy przechodził pod drzwiami podróżny,
To patrzył ostrożnie w dom głuchy i próżny,
Aż z śmiechem zaczynał rozmowę z przechodniem.
Gdy z światłem zachodniem przychodził podróżny,
Od pustki z niechęcią odwracał wnet głowę.

Pamiętam też chwile weselsze a tajne,
Gdy dziwne się zdają przedmioty zwyczajne,
Marzyłem o czarach, o schodach w tej chacie,
O drogach podziemnych i wielkich pieczarach,
Gdym zmieniał w postacie snów rzeczy zwyczajne.

W pobliżu dzwon czasem zajęczał przelotnie
I gorycz z lat całych wzbierała powrotnie,
A w braku tej zgody, że nic nie pomożem
W dom pusty się patrząc, tłumiłem zawody,
Bo gorycz jest morzem, co wzbiera powrotnie.

W dzień jeden trapiony uwagą tajemną,
Nad żądzą dusz myśląc i pracą daremną
Mścić chciałem się męki, co z ogniem trzew wzrasta
I w proch mnie znów rzucił żelazny cień ręki.
Szmer nikły wiał z miasta: ach chęć jest daremną.

Więc życie przed ludźmi szyderstwem oczernię,
Że zrywa dech w piersiach i spłaca dług wiernie.
Czy wróci? Blask gaśnie... Nieczuły, syt strachu
Patrzyłem w dom pusty zmyślając mu baśnie.
Dziś twarz miał miast dachu, drzazg szczątki jak ciernie.

Wtem drzwi się od domu szeroko otwarły
I stanął na progu znajomy umarły.
Czy mówił co do mnie, czy zamarł dźwięk z mową?
— Szerokie drzwi domu widziałem przytomnie. —
Poruszył w dół głową, lecz słowa zamarły.

Dziś dawno, gdy dziwne widzenie to wspomnę,
Znów widzę te oczy złowrogie, przytomne,
Lecz wtedy, gdym z dziwu ochłonął i grozy,
Tak łkałem jak drwiną zbudzony z porywu.
Ulicą szły wozy jak zwykle, gdy wspomnę.

Naprzeciw mych okien dom stary i nizki,
Pod dachem skrzywionym jak biegun kołyski
Kaleczy bok rynny wyciągał jak rękę
I patrzył drzwi jamą jak wzrokiem zgaszonym,
A dach miał jak szczękę lub biegun kołyski.

I jeszcze czas długi stał dom ten, gdzie mury
Ujęły las krzyżów w klin ramion ponury,
Lecz później z tej strony z zwiększeniem cmentarza
Dla miejsca, o ile pamiętam, zburzony.
Z przechodniów kto zważa na smutek ponury?

FINALE

Tańczące pary stanęły. Przez chwilę
Dech słychać było. Wtem jasna, różowa
Wybiegła — jak słup jednodniówek w pyle
Słońc wirujący — baletu królowa.

Bez dźwięku, jakby szybkość czerpiąc w sile
Maleńkich skrzydeł, błysła jak pół słowa
Tajemnic. — Z ramion skrzydełka motyle
Zwisły. — Stanęła i znów w tłum się chowa.

Zabrzmiała cała orkiestry potęga.
Scenę przez wrzawę widać jak przez mglistą
Tęczę, — skąd śpiew się przewija jak wstęga.

Arlekin gwiżdże, a z budki suflera
Wychyla się twarz nikła w uroczystą
Kpiąco się patrząc salę, gdzie szał wzbiera.

CLOWN

Po ławach przebiegł śmiech głośny jak drżenie
Puszczonej z ciszy napięcia cięciwy,
Potem się rozlał w długi, obelżywy
Łoskot poklasków. Na wielkiej arenie

Kłaniał się wkoło, wtem przedarł jak lśnienie
Skokiem powietrze i padł... Powstał krzywy,
Niby kulejąc, z bólem w twarzy siwej
I ruszył żartem przedrzeźniając brzmienie

Pochwały. W kole na pędzących koniach
Stawali jeźdzcy. Ona po popisie
Wdzięczne całusy roznosiła w dłoniach,

A clown podszedłszy ku oklaskiwanym
— Twarz miał mniej śmieszną i ostrą w zarysie —
Wybuchnął śmiechem wielkim, przerywanym.

DYABLIK - ARLEKIN

„Mam wszystkie cnoty i wady, co w duchu
Ludzkim być mogą, lecz użytek mierny
Z nich mam. Mój żywot kapryśny jak z puchu.
Mym wiecznie drwiącym myślom jestem wierny.

Czasem poważnie wkraczam między ludzi
I każdej twarzy przyglądam się z blizka,
Śmiech w niej szalony skurczem się obudzi,
Lecz człowiek stroni, nieśmiało wzrok błyska.

Lubię ich bawić, wesołych i smutnych.
Jeśli chcę, w zgubę podążą dla żywej
Gry mej śmieszności i gestów rozrzutnych,
Lecz jam do czynów śmielszych za leniwy.

Zastęp ciekawych raz w ich własne słowa
Wplątałem kpiących zapytań łańcuchem.
Twarz moja śmieszna, pieszcząca ma mowa,
Pogarda cnoty i grzechu mym duchem“!

NOC LETNIA

Raz w letni wieczór w mej stronie rodzinnej
Wielka równina pokryta jak kurzem
Dziwnymi kształty wiła się w mgle płynnej.
Przeczucie moje było niby dużem
Strwożonem okiem wśród snu w głębi ducha,
Okiem, co patrzy chciwie... prawie słucha.
Niebiosa były jakby szklanem wzgórzem
    We świetle zachodniem.

Zdawało mi się, że jestem daleko
Od siedzib ludzkich zmęczonym przechodniem,
Co zmniejsza oddal mrugając powieką
I za swem słońcem podąża przewodniem,
Łaską wytrwania. Droga jak popiołem
Płynąca na kraj ziemi — nikła kołem.
W powietrzu widma unosiły wieko
    Spiesznie i bezgłośnie.

Prawie rzec chciałem, gdzie grób tak szeroki,
Kiedy szczyt jego murawą porośnie?

Czasem wyraźnie zmierzch stąpał jak kroki
Niewidnych ludzi, co baczą litośnie,
Lecz w noc gorącą wśród ciemnej przestrzeni
Z przeczuciem czegoś, co doli nie zmieni,
Nie śmiałem patrzeć cierpliwie w obłoki
Pędzące orszakiem.

Znikome formy i ruchy tajemne
Dymów wieczornych niedobrym są znakiem.
Snują się jakby przestrogi wpółciemne
Krwawiącym w niebie chorób i łez szlakiem.
Odległe bory wstrząsały jak duchy
Masami skrzydeł, jak w groźbie lub z skruchy
Maskując głuszą wysiłki daremne.

Marzenia moje były na rozstaju
Pragnień i smutku dotrzymując kroku
Dziwacznej żądzy płynącej z zwyczaju
Tworzenia cudów złudzenia o zmroku.
Świat miał też w dzień ten oblicze surowe
I z chmur ulepił w niebie trupią głowę
Wyrosłą z pustki dna na ziemi kraju,
Z gwiazdą w oczodołach.

Przed nią jak wielka teatru arena
Ciągła się ziemia. W popielatych kołach
Chmur ławy widzów próżne, za to scena
Zapchana ludźmi po miastach i siołach,
Wszyscy zajęci graniem w jednej scenie
I brzmiała skarga w szerokiej arenie

A w oczach czaszki widna gry ocena
Bystra i niestronna.

Wstrząsnął mną widok. W pozornym tym ładzie
Jakaś się krzywda czaiła bezbronna
I nagle głos się odzywał jak w radzie
Starców, że prawda gorzka nieuchronna.
Ukryć się chciałem lub zapaść głęboko,
Lecz wciąż mnie gwiazda ścigała jak oko
I wreszcie drogę poznałem po śladzie,
Noc szła tu z orszakiem

Złych duchów. — Ruchy znikome, tajemne
Dymów wieczornych niedobrym są znakiem.
Snują się jakby przestrogi wpółciemne
Krwawiącym w niebie chorób i łez szlakiem.
Przeczucie moje jak wzrok w głębi ducha,
Co w przyszłość patrzy chciwie, prawie słucha,
Kryło zadumą wysiłki daremne.

* * *

Gdyby tę miłość, co jest w naszej duszy
Zamknąć w naczynie tak szczelne jak skrzynia
Na dzień pogrzebu, wielkie, że nie wzruszy
Nikt z ludzi i gdzie największa pustynia
Złożyć ten ogrom, żeby długie wieki
Była wycieczek celem jak zabytek
I na przestrzeni jakby port daleki
Dniała, gdzie biegłby pustynny rozbitek,
Stałby się w świecie fakt dziwny, że ludzie,
Trochę leniwsi, niż zwykle, z początku,
Wszyscyby w jednym złączyli się trudzie
W nowym świat cały odrodzić obrządku,
Coby pochwały nie dozwalał pustej
A karał piętnem nędzy serc porywy,
Co głoszą dziwy szerokiemi usty.
Nieraz tak mały, a przecież szczęśliwy
Człowiek kłaniając się żywo w ciasnocie
Trąca mnie. Skorych ukłonów nie cierpię.
Jest hojna miłość, bujna w swej ochocie
I gorzką radość jak ogień z niej czerpię.

B. G.

☆ ☆
☆

Wbiłaś mi w ranę chłodno i z weselem
Kolce zazdrości. Widząc mój zły humor
Przybyłaś śmiało, kpiąco do mnie, z celem
Mówiąc serdecznie: „Przecież się nie gniewasz?“

I raz mnie ludzie dotknęli boleśnie
Przecząc marzeniom mym głośnym i myślom
A gdy w zmartwieniu tem stałem jak we śnie,
Ktoś spytał: „Co... czyż wziąłeś to do serca?“

Nie mam Ci za złe, że tak pełna troski
Spostrzegłaś moje cierpienie i zmianę,
Tylko się dziwię, że tak łatwo może
Zadając ten sam człowiek spostrzedz ranę.

Wyrzucam sobie wrażliwość zbyteczną
I mój nieznośny oceniam charakter
Chęć zapytania tłumiąc niedorzeczną:
„Co... czyżbym wszystko to miał brać do serca?“.

LIST ZNALEZIONY WŚRÓD STARYCH PAPIERÓW

„Dzisiaj marzyłem o Tobie bez przerwy.
Pamiętasz naszą ostatnią rozmowę,
Żeś przeczulona, że mam chore nerwy
A także nad tem łamaliśmy głowę,
— Byliśmy w gronie starszych — jakie miny
Miałoby każde z nich, gdyby przy boku
Ujrzeli nagle z kosą śmierć? Do drwiny
Brnąc w śmiech, jak w chwiejność naglącego kroku,
Łzy miałaś w oczach a czasem cień lęku
I jęłaś pytać w dziecinnym uporze
I już poważniej... róg chustki mnąc w ręku,
Cobym też zrobił, gdybym w Twym ubiorze
Przed sobą szkielet zobaczył? W tej chwili
Przerwał myśl moją gwar gości. W Twem oku
Słodkim był ten zły humor, co się sili
Przedrzeć ciemności, czasem zalśni z boku
Zalotnem drwieniem. Otóż dziś donoszę
Ci, że marzyłem o Tobie dzień długi,
Cały. Zdawało mi się, że Cię proszę

O jakąś łaskę, dary czy przysługi.
Pełno słów było uszczypliwych, oczy
Twe śniły mi się i nasza rozmowa,
Wreszcie ten szkielet. Sen nieraz zaskoczy
Duszę jak wyrok... — niech nas Bóg uchowa —
Nagie swe palce złożył mi na rękę,
Jak w odpowiedzi, bełkocząc coś w trudzie.
Podobnym nie był... chyba gdyś jest w nudzie,
Cokolwiek także z uśmiechu...
Było mi przykro".
Dodam, że podpis w tym liście skreślony
Był nieczytelnie jak gdyby z pośpiechu.

* * *

Przy pożegnaniu byłem niespokojny
I rękę Twoją uścisnąłem spiesznie.
Czułem, żeś chciała coś rzec, lecz w zmieszaniu
Rozstaliśmy się poważnie i śmiesznie.

Za to ten szatan, co tkał nasze szczęście,
Co zbliżał ręce i zaostrzał słowa,
Wkońcu wybuchnął i w oczy wbił pięście
Bezwstydnie, tak się zanosił od płaczu.

KOŁO SZCZĘŚCIA
(W PRACOWNI)

Wytrwam!... Znużyły mnie ciągłe zjawiska.
Każdy kąt izby chwieje się od blasku,
Zewsząd ktoś woła!... Serdeczny śmiech tryska,
Gdy się poruszę i drwina oklasku.

Najpierw mi drogę zaszła postać karła.
Kiedym postąpił, cofnął się do muru,
Wtedy się ściana od zwidzeń rozdarła,
Karzeł się rozśmiał cały dom do wtóru.

„To dziwne“ rzekłem „już wczoraj myśl skryta
Złud mnie dręczyła życiem i pozoru.
Czyż jaka prawda na grobie wyryta
Bajek — korzysta z mojego uporu?

Lub może wróżka złośliwa otacza
Mnie kołem szczęścia i czerpie z zapasu
Żartów, by zegar, co chwile oznacza,
Wstrzymać i niemy zarzucić w głąb czasu?“

Więc do zabawy! Bo chociaż te złudy,
Co okrążyły mnie lotną obręczą,
Mają na twarzach rys szyderstw i nudy,
Przecież kołują i błyszczą i dźwięczą.

Wytworom znużeń i sił wyobraźni
Czasem spodoba się wejść w krąg zabawy,
Jak gdyby zegar w takt się rzucił raźniej,
By prędzej wybić czas i stać u sławy.

„Oto przyczyny cudów“, więc do wtóru
Tej wrzawy zjawisk, co szydzi i boli,
Zawezwę postać, co z pieczary muru
Patrząc, spowija zgiełk mgłą melancholii.

Potem już śmielej obrócę się w kole.
Niejedną z bliższych postaci zagadnę
O moją śmieszną postawę i rolę
Ściągając usta od śmiechu bezwładne.

Tak mnie bawicie — pamiętam — jak echa,
Co jedna chwila z lat wielu rozściela
Zmierzchem w powietrzu i nie wpierw zaniecha
Gry — aż się złączy okręgiem wesela.

Rytmy uciechy powstają w mym duchu
Z koliskiem zjawisk wpadając w rym głośny
I płynąc wierszem... w końcowym wybuchu
Wir się zacieśnia w sens dziwny, przenośny,

Aż mi tłum rączy niepewność przypomni,
Niepewność proroctw godziny szczęśliwej,
Podnoszę głowę i patrzę przytomniej,
A krąg się cofa błyszczący i żywy.

Jawią się wtedy widzenia powietrzne,
Co wieją smutkiem swej żałobnej krasy
I szepczą słowa tajemne i wieczne
Wydzwaniające sny, wieki i czasy.

Jakby ich droga była lat szeregiem,
Gdzie się dzień każdy znaczy jak kurzawa
A wieczność była dróg bezdennym brzegiem,
Skąd wieje chłodem ścian... przepaść, obawa.

Lecz wy rozwiejcie te niemoc... swawole
Błędnego koła, skąd szczery śmiech tryska.
Chwytam cień wirów waszych na mem czole
I czuwam... znużon chyżością zjawiska.

ZEGARY

I.

Ślad dni znacząc w naszem życiu,
Jak stłumione starców gwary
Jednostajne w takcie, w biciu,
W ciszy chwieją się zegary
Zawsze zgodnie,
Bezlitośnie jak dnie słotne.
Mknąc..., kołysząc czas swobodnie
Szepcą wieści bezpowrotne.
Mówią wszystkim i nikomu...
Słowa raźne, zgodne, wieczne.
Ze ścian w gwarnym szepcąc domu
W bezustannej grze szeleszczą
Monotonne i stateczne
Głosząc złudy lat ogromu
Treść złowieszczą.
Ludziom czynnym,
Gdy ci spoczną po swym znoju,
Dzwonią głosem żywszym, innym
Przez poważny zmierzch w pokoju.

Wtedy biją jak puls rwący
I na pamięć czas przywodzą,
Czas bezmierny, chciwy, ssący.
Głąb odkrywszy żądz daremną
W zwykły, wolny takt przechodzą
Szmerem w przyszłość biegnąc ciemną.

II.

Jakże głośno brzmią zegary
W cieniu głuchej, długiej nocy,
Jakby pewne siłą wiary
W swojej mowy treść bezdenną.
Niemą otchłań cisz północy
Ożywiają grą bezsenną...
        Szmerem stron
Przewracanych w księdze życia. —
        Biją w dzwon,
Co oznajmia w dźwiękach bicia
        Troskę, zgon.
Kołysana chwil ciężarem
Znów się waha obojętna
Twarz zegaru. Szelest tętna
Wolnym płynie ze ścian gwarem.
Ton niezmienny, ciągły, senny...
Ważąc rytmu bieg stateczny
W zmierzchu rannym bezustannym
Taktem sztywnych drgnień szeleści
Głosząc dalszy ciąg odwiecznej
        Swej powieści.

III.

Ślad dni znacząc w naszem życiu,
Jak stłumione starców gwary
Jednostajne w takcie, w biciu,
W ciszy chwieją się zegary.
Ze ścian w ludnym szepcząc domu
W bezustannej grze szeleszczą
Głosząc złudy lat ogromu
Treść złowieszczą.
I zacisznie przy ognisku
Szept zegaru sny kołysze
Zamyślonych, smutnych ludzi.
Wiodąc wspomnień tłum w zjawisku
Lat ubiegłych... nagłym w ciszę
Biciem godzin z marzeń budzi:
Szmerem stron
Przewracanych w księdze życia,
Bijąc w dzwon,
Co oznajmia w dźwiękach bicia
Troskę, zgon.

IV.

Jak tajemnie przed wieczorem
Szmer zegarów z ścian szeleści.
Z zimnym w takt swój brnąc uporem
Szepcze dziwnej ciąg powieści.
Jak rozdrgane gwiazd połyski,
Ale brzmiące złotem dźwięku,
Rytmem mieni się kołyski.

Jakby kresu drogi blizki
Dzwoni nagle i dreszcz lęku
Budzi w sercu... dźwięcząc głucho
Spiżem drgnień,
Co fal żarem płyną w ucho: —
Przeszedł dzień,
Co miał krzepić nas otuchą. —
Cicha wrzawa takt w takt spycha,
Miara wahań w rytm oddycha.
Czyta dzieje wieczne..., świta
W zmierzchu blaskiem drżeń promyka,
Co nić czasu drogą bytu
Wiedzie skrzętnie i dotyka
Trwożnych myśli mgłą zachwytu.
Ślad dni znacząc w naszem życiu,
Jak stłumione starców gwary
Jednostajne w takcie, w biciu,
W ciszy chwieją się zegary.
Ze ścian w ludnym szepcząc domu
W bezustannej grze szeleszczą
Głosząc złudy lat ogromu
Treść złowieszczą.

Masz w głębi Twojej duszy
Jakby część tęcz błękitu,
Gdy z złotych snów je wzruszy
Różowa gędźba świtu.

I te rozpierzchłe fale,
Co spaja Twa tęsknota
W błękitne, nieme dale,
Płyną jak zorza złota

Na głos rozgrany w brzmieniu
Zamierzchłej, tęsknej wieści,
Co się w sprószonym cieniu
Cudownych podań mieści.

Więc śledząc jak w tęcz złotą
Legendą oddal prószy
Upajam się tęsknotą
Spojrzenia w głąb Twej duszy.

ŚLUB DZIEWCZĘCY

Kładę lilie w pęku kwietnym
U Maryi stóp,
By się spełnił w śnie sekretnym
Mój tajemny ślub.

W śnie mnie dręczą westchnień głosy,
Co budził mój ślad,
Gdy wiatr wplątał mi łzę rosy
W fałd dziewczęcych szat.

Więc przypadam wstęgą lotną
W pyle wonnych smug,
Jak ofiarą próśb zawrotną,
Do Maryi nóg.

I zakrywszy falą włosów
Skrzący śnieg mych stóp
Łowię prądy westchnień, głosów,
Co tają mój ślub.

WIETRZNY DZIEŃ

Z rankiem w grze słońca lśni brylant i znika
Tak wartko.
Wiatr niby księgę tajemnic odmyka
I w drzewach szeleści jak kartką.

„Czas szczęścia" szemrzą. Gąszcz kryje twarz w rękach,
Rozważa,
Czy zmarł kto w domu, czy żył tylko w mękach?
Ruch cieniów na ziemi się tarza.

Z progu do progu dziś taką niósł wrzawę
Dzień wietrzny.
Dziś lepiej... i Bóg przytłumił obawę,
Oddalił od powiek mrok wieczny.

W bramie blask płynie, brzęk muszek jak rada
Brzmi w górze.
Przez pokój świecąc proch wznosi się, spada.
Niepewność mą wspieram i burzę.

Z rankiem w grze słońca lśni brylant i gaśnie
Tak wartko.
I czasem strunę niewidną zadraśnie
Lub w drzewach zamiga jak kartką.

NAŚLADOWANIE Z VERLAINE'A

Po wierzchu bujnej niwy
Wiatr morzem drga szerokiem,
Jakby dym mknął leniwy
Wciąż rwącym się obłokiem.

Zrywa się prąd i bieży
W spokojną głąb błękitu
Unosząc z kłosów świeży,
Srebrzysty pył rozkwitu.

Rój kłosów słodkim tonem
Obudził złotą ciszę.
Błyszczącym, cichym dzwonem
Powietrze się kołysze.

Brzmi pieśń jak gwar szczęśliwy
Z lustrzanych źródeł bicia.
Gdzie szczęście twe, skąd chciwy
Żal win, żal strat i życia?

☆ ☆ ☆

Dobranoc Ci po zwierzeń dniu i słońca,
Po zgasłych dniach poważnej słodkiej mocy,
Przez przepaść chwil, co strzegły nas do końca.
Dobranoc Ci na wstępie długiej nocy.

I z progu dróg krainy ciemnej, pustej
Przez zapach róż wiejący od smug zorzy
Żegnam Cię w głos — wrzącemi od próśb usty
Wzywając snu i łask litości Bożej.

Zraniłaś mnie pieszczącą, miękką dłonią
Słabiej niż ciąg dni woni róż i słońca,
Więc życzę Ci schylony nad Twą skronią
Na dobrą noc cudownych złud bez końca.

TŁÓMACZENIE Z EDGARA POE

DO ...

Nie taję, że z ziemią wiążące mnie pęta
Już jakby nie z tego są świata,
Że cierpka nienawiść w dniu jednym poczęta
Dnie złudy zabiła i lata.
I nie żal mi, luba, smutnego odkrycia,
Że gorszym mój los niż rozpacze,
Lecz cierpię, że Tobie żal mego jest życia,
Bo ono ... to przejście tułacze.

B. E.

V.

Z NABOŻNYCH GODZIN

Z NABOŻNYCH GODZIN

Będę przy śmierci miał widzenie senne,
Co mi we świecie rozbłyszczy się mglistym.
Opieki ręce szorstkie i sumienne
Zwiększą codzienne
Lat mych ciężary strachem uroczystym.

Z promienistego we chmurach ołtarza
Blask niepokojem stłumi me powieki,
Blaskiem tym będzie żar, co to przeraża:
„Tyś bez opieki"
I każdem drgnieniem przeczuć ból powtarza.

Z promienistego w dali ziem kościoła
Przypływać będą hymnów dźwięk i ognie;
Wicher ten zdoła
Złamać wieżyce i do nóg mych pognie
Gmach — rozżarzając śmierć u mego czoła.

Moje posłanie ocieni szmer skrzydeł
Białych aniołów, dziecinnych lekarzy,

Co to się modląc gromadzą u sideł
Skonu — tych twarzy
Skrzywionych prośbą pełno w snach nędzarzy.

Będę przy śmierci miał widzenie senne,
Żem otoczony jest mych natchnień rojem.
Ręce przypomnień duszne i sumienne
Zwiększą codzienne
Lat mych ciężary znużeń niepokojem.

Wtedy, gdy trwoga siły mi odbierze,
Śnić mi się będzie dziwnie, że wesele
Brzmi chórem w wzrosłym przedemną kościele
I wieże
Ubiera w wieńce ogromne, w pacierze.

⋆ ⋆ ⋆

A spokój to noc... ogarnia jak bole
I oczy zwiąże, by zawieść w świat duży;
Biedny wędrowny ugania drżąc w kole,
Czekać mi smutno... tak pragnę podróży.

Jest łąka wonna w tym ciemnym padole.
Niedobre dziecko, co w bajek strach wierzy.
Niema zła... chyba to puste, mdłe pole
I gwar daleki rozległych wybrzeży.

Żal mi, tam orszak mnie czeka na niwie.
Dzień gaśnie. Chciałbym już wołać jak z drogi:
„Byłem daleko tak! wracam szczęśliwie".

W ramiona chwytam mrok pustki na polu.
Czekać mi smutno i żal mi przestrogi.
Pragnę dróg w blasku... im bliższa noc bolu.

Więc zapytałem narzekając w duchu,
Gdzie ten ląd stały, żeby oprzeć oko?
Szum nieskończony morza dzwoni w uchu,
Lub czy w otchłani wstaje szmer głęboko?

Na twardem łożu, słaby, z dreszczem woli
Żyję w minionej gorączce ponownie
I w półuśpieniu codziennem... powoli
Roztwarłszy oczy... zrywam się gwałtownie.

To delikatna ręka, co prowadzi
I odszukuje zaoraną miedzę.
Czy naprowadza w kolej coraz rzadziej?

To cisza, co tak niespodzianie budzi
Wpatrzonym w ciemność okazując wiedzę
Próżną... badaną z krzykiem w tłumie ludzi.

Lecz po namyśle rozstrząsając rzeczy
Daremne... duszy twej zwiastuję próbę
I z nią się oddasz dobrotliwej pieczy,
Wróżę, niejedną przejściem znacząc zgubę.

Otom zbiedzony. Surowym wyrokiem
Niwecząc zgubne, niedościgłe chęci
Idę już... idę tem kołem szerokiem,
Bo rzekłeś: „Wykreśl mary z twej pamięci.

„Otom Twój“ rzekłem z pałającym duchem
I wyprzedzając modlitwę niewczesną
Trwożnych czekałem z wytężonym słuchem.

Jest na tej ziemi wielkość, co niweczy
Najcichsze z roszczeń bezwładnych... bolesną
Myśl zostawiając wszechmogącej pieczy.

Zatem w łask źródle zatonąwszy usty
Ten uporczywy tłómaczę frasunek
Niewstrzemięźliwą duszą: wielkość pustej
Skargi, bo świeży noszę pocałunek.

I przepowiadam niespełnione cele,
Gdy wszechobecność, co jak dłoń roztwarta
Ujmuje kulę świata, mieszcząc w dziele
Swem drwinę złamie globus: „oto karta“.

Przedtem poproszę w cierpieniu ogólnem
O miejsce skromne, niewidne i ciche,
Gdziebym się z sercem ukoił potulnem.

Zrównania wszystkich odpowiedź chce wiecznie,
Wtenczas w szaleństwo wzbiję się i w pychę...
A więc zwątpieniem łudzę się? — Bezsprzecznie.

PORĄ WLOKĄCĄ SMUTNIE...

Porą wlokącą smutnie płaszcz z ołowiu
Niejednej głuchej nocy
Niesiesz mi litość i pamięć o zdrowiu
W przewlekłej mej niemocy.

Żeby wprowadzić Twój umysł stroskany
W swawolny tok rozmowy,
Żartując usta przytulam do ściany,
Gdzie drży cień Twojej głowy.

A gdy czas przejdzie, na mur jaśń bladawą
Różane strzęsą zorze
I barwy ranne dzień tkając jaskrawo
Zgaszą Twój cień w kolorze.

Ale dzień zejdzie, że z świtem powstanę
Z przewlekłej mej niemocy,
Przyjdź, żeby cieniem paść na zimną ścianę,
Pieścić się w głuchej nocy.

⁂

Ze świtem przyszłaś, gdy wschodzą zorze
W złocistą tęcz oprawne,
Gdym śniąc w bezwiednym wskrzeszał uporze
Urazy śmieszne, dawne.

Słońce w mgieł grzywę wpięte podkową
Jak krwawy łuk obręczy,
Jakby nad z cieniów zlepioną głową
Błyszczało kręgiem tęczy.

„Ze światów w szklannem lśniących przezroczu,
Gdzie gwiazd lot bronzem dzwoni,
„Przyszłam spić“ rzekłaś „senność twych oczu
Świecistem szkłem mych skroni“.

BŁOGOSŁAWIONAŚ

W twym wzroku przemknie dreszcz żądz jak wiatr
I znów rozrzucasz łaskawe okruchy |w puchu,
Względów, — gdy spokój się wzmoże w twym duchu,
Pogodnem okiem szukasz brzęku muchy.

Urocze linie, co błądzą w twym ruchu,
Jakby na ustach dumnych uśmiech głuchy,
To też ogniwo cenne w tym łańcuchu.
Wiążesz skromnością dodając otuchy.

Ach łaskiś pełna! tylko dwie znasz chwile
Szczerości: nudę i gniew, wtedy oczy,
To dwa bijące skrzydłami motyle.

Błogosławionaś!... Zawód rani ciszą
Cierpiących — żal tak włóczęgów zaskoczy,
Gdy anioł pański na drodze posłyszą.

REFLEKSYA

Złośliwość tworzy wierzch ze szkła w głębinie,
Czasem się wezdmie w lśniącą bańkę chwili,
Kiedy przechodzień głębiej się przechyli,
W drwiące zwierciadło woda się rozpłynie.

Jasność na polach jak para rozwiana
Łudzącą ciszą otacza pielgrzyma.
Czasem powstaje przed okiem jak ściana
Lub drży i bańki tęczowe wydyma.

Przed naszą myślą świat jeden się błąka
Jak starzec... swego rozumu upory
W lekką sieć tkając z uwagą pająka.

Drugi niby twarz od szyby odrywa
I znów oddechem zaciera tchnień wzory...
To jest ta praca cięższa, nieszczęśliwa.

O PÓŁNOCY

Noc zimna. Zmierzch dżdżu niby przymknął księgę,
Ślad dnia starł dawno. Przed moją uwagą
Spokój rósł w dziwną, nieznaną potęgę
I czasem jak chłód, co przejął pierś nagą.

Przedemną w trumnie leżał w świeżym stroju
Trup. Cień na twarzy jak maska czerwonej
I jakby lżącej w bezmiernym spokoju
Bladł i naprzemian znikał z każdej strony.

A koło okna marszczyły się z brzegu
Firanki ręką kościstą dotknięte,
Ktoś wołał jakby po drodze, jak w biegu...
W twarzy śmiech, oczy wiecznie odemknięte.

WIECZÓR

Wieczór na polach snem lekkim oddycha.
Budzi się z miękkich kołysań powiewu
Nocnego śpiewu
Gra cicha.

Płynie z dalekich, bezstrunnych harf mroku
Szelestem nocy pieszczącym i dźwięcznym
Tonąc w miesięcznym
Obłoku.

Słucham i marzę tak tęsknie, gorąco...
Jak gdybym ująć miał w tej grze dalekiej
Dłoń lubą, drżącą
Na wieki...

LITANIA I ANTYFONA

Z nieświadomości głębin i pomyłek
Wołamy usłysz nas Boże z błękitu.
Wysłuchaj bicia serca mego w biegu
Do zimnej dali zmierzchu i spokoju.
Czasem powstajesz w świecie jak duch jasny
I dłoń opierasz na krawędzi ziemi
Lub światłem rannem jak wzrokiem w świat toniesz
I deszcz promieni rozpuszczasz jak włosy.
Z powodu naszych pragnień i złych przeczuć
Zmiłuj się nad nami.
Byt nasz jak wiru lej w bezkresnej rzece,
Czekamy, kiedy zleją się te fale
Nad głową naszą lub Ty z wysokości
Pomału spłyniesz jak wieko grobowe,
A wśród stopniowej ciemności na dole
Wszystko jak wryte stanie... pierzchnie. Z przyczyn
Zawodów naszych zmiłuj się nad nami.
Z szyderstwem w myśli i z tym ogniem w dłoni,
Co wzięty z szczytów buntu i niewoli,
W życie zwrócony oświeca zwątpienia
Otchłań i zguby, zbliżam się do świętej
Przyczyny wzruszeń naszych i dobroci.

Przedziwna matko litości i płaczu
Serdecznych żalów! Twe imię jest dźwiękiem
Dzwoniących kwiatów i gwiazd, co spadają.
Z tych szkiełek zbitych masz skromną koronę,
Boś jest ucieczką grzesznych i złamanych,
Co w śnie Cię widzą żywą i łagodną
I z ust Twych słyszą pociechę roztropną
Dla beznadziejnych... lecz gdzie dziś Twa łaska?
W świątyniach stoisz jak posąg, Twe rysy
W śniem widział czystsze od łez. Złagódź uśmiech
Buntu i wzgardy, o przyjdź Panno można.
Do śmierci, co nas przestrasza od dziecka,
Do tej opieki, co nas gna w niepewność,
        Módl się za nami.
Jesteś królową wyznawców bez zmazy
Z ich żądz poczęta, by smucić się z nimi.
O różo piękna, Twe ciało okryte
Niebieską szatą. Naszemi prośbami
Nie racz gardzić, lecz pod Twą obronę
Weź niespokojnych. Na łące kwiecistej
Wzniesiemy kościół z chwil ciemnych i słońca.
Zejdą się pola i drogi z daleka
Na nabożeństwo a w progu świątyni
Stanie bezsilny żebrak, co przez życie
Nędzne swe tęsknił do Ciebie. Pojednaj
Nas z przykrą myślą sieroctwa i pracy
I módl się, byśmy stali się godnymi
        Obietnic.

MARYNIA

W twym domku będzie bielutko i świeżo.
Z pozoru
Przyszliśmy słuchać dzwonienia wieczoru.
Gwieździste noce pęd serca uśmierzą
I woń, co tchnie z dworu.

Przyszedłem drżący jak z zimna i żaru,
Lecz skargi
Moje jak długie, godzinne letargi
Bezduszne... tylko je dreszczem jak z czaru
Budziły twe wargi.

Już zapomniane i rany i żale.
Przy chorej
Tak cicho i czas zagubił bieg pory,
Czasem się jednak ból ocknie jak w szale
W duszące wieczory.

Dobrze mi czuwać u twego wezgłowia
I marzę,

Ze niecierpliwość nas dręczy jak twarze
Masy ciekawych. O przyjdziesz do zdrowia,
Z zmian doby masz straże.

Z dzionkiem Cię lepiej przykryję... ułożę,
A w nogach
Uścielę róże, co wschód złożył w progach
I przyśni Ci się dreszcz światła na dworze
Tańczący po drogach.

Gdy się pęd tętna wyczerpie — w niemocy
Upornej
Jest często postęp na lepsze pozorny —
Przełamie się dzień najgorszy... Już z nocy
Trwasz w ciszy pokornej.

Raz się wydałaś, że złego początki
Od roku,
Zranił Cię błahy sen nakształt uroku
I świat Cię nagle otoczył jak szczątki
Lub łzy w krwawem oku.

Już przeszło gorsze. Ach! znosi się wiele,
Dnie bieżą
Tak niemo... ciszej umarli nie leżą.
Rosa z chmur spływa jak zimno po ciele,
W pokoju tak świeżo.

Gdy dziś Cię strzegąc usnąłem, klasztoru
Podwórze

Ujrzałem. Dźwięczał chór w gankach na górze
Jakby w kościele i śpiewy nieszporu,
Tam byłaś na chórze.

Ogniem świec targał wiatr hymnów i dzwonu,
Tak blada
Jak teraz... stałaś w trwodze, że lud pada
Jak rwący pożar orkanem pokłonu,
I w głos się spowiada.

Ale wnet groźniej się zerwał wichr pieśni.
W kościelnej
Sienim Cię ujrzał w pościeli śmiertelnej
I w twarz Ci coraz patrzyłem boleśniej...
Dzwon jęczał niedzielny.

Pamiętam drobną, dziecinną powiastkę
O zgonie
Dobrej Maryni. Siostrzyczkom na stronie
Trwożnym szeptano, że Bóg złożył gwiazdkę
Umarłej na skronie,

By jej nie zrzucić, spoczywa bez ruchu
Tak skromnie.
Słuchałaś słów mych chciwie i przytomnie,
Może gorączka przeczula moc słuchu.
Pójdź... — oprzesz się o mnie —

Na nabożeństwo w cienistej kaplicy
Nowiny

I zwiastowania... modlitwę z przyczyny
Snów naszych zmówić i tej bladolicej,
Umarłej dzieciny.

Później powrócim w dom biały i świeży,
By z dworu
Słuchać srebrnego dzwonienia wieczoru,
Odmawiać z Tobą zbiór długi pacierzy.
Z naszego obioru

Będziesz tą świętą w zabawie i znoju,
Co czyni
Dobrze za wszystkich, nikogo nie wini
I szczęście wzrośnie jak szczyt drzew w spokoju
Dla dobrej Maryni.

DO ...

Nie będę nigdy sercem twych zamiarów,
Ni twego smutku nie podeprę dłonią.
Jak słaby lament wśród zgiełku pożarów
Poznałem głos twój, lecz ciebie obronią

Przed mą miłością spokojne te chwile
Gorzkich rozmyślań i żeby w twym głosie
Zadrżała litość, trza próśb... jednak w sile
Twego spokoju łza... świat błyszczy w rosie.

Trza nam wybaczać wymówki. Oddawna
Łakniem poprawy. O żalu, ty tkaczu
Sideł! Zwodniczość twych dróg niepoprawna,
Więc błądzim... Trza nam wybaczać chęć płaczu.

Bez tchu, tak długo śledzę każdą zmianę
Twego marzenia. Wiem, zgniewasz się... pęka
Obręcz, co ściska czoło. Skrwawię ranę
Dawnej niechęci. Czy zbawi mnie ręka

Anioła Stróża? Z tobą choć pozornie
Zebrałbym szczątki naszych wiar na szczycie
Ukojeń... prawda? Klękając pokornie
Świadomi w nowe weszlibyśmy życie?

Niedbałą radość zyskując na nowo,
Każdy dzień dobry dostając w zapłatę
Chwil próbnych. Anioł świeciłby nam głową
Z gwiazd... zamiast drogi ścieląc nam swą szatę.

Nie będę nigdy duszą twych zamiarów,
Ni twego smutku nie podeprę dłonią.
Jak słaby lament wśród zgiełku pożarów,
Poznaję myśli twe, co Cię obronią.

Z MIŁOŚCI

W noc — czy pamiętasz o miła — podobną
Do tej, co szczęścia porwała nas wirem
Nieukojonych, zdumionych ozdobną
Siatką z płomyków utkaną nad kirem

Przestrzeni, głuchej słuchając namowy,
Co niepokojem zbudziła się w duchu,
Poszedłem z żarem przewodnim u głowy,
Z żarem miłości — ku tobie. W łańcuchu

Górskim przedemną wznosiła się łuna,
Jakby gdzieś z krain nad wrzawą i tłumem.
Czasem wiatr zadrżał wśród lasów jak struna
I światłem w niebo wypływał i szumem.

Po długiej drodze w tym smutku bezdennym,
Co to po bujnem weselu przytłacza,
Łamałem ręce nad cichym, niezmiennym
Bezmiarem, co nas rozwiódłszy, otacza.

Noc była jasna... Łowiłem z uwagą
Szept trwożnych liści i szemranie źródeł,
Las bił jak zegar w pień gałęzią nagą,
Jakby kaleka stukał drewnem szczudeł.

Na szczytach skalnych kilka drzew samotnych
Jak kępa trawy wysmukła i chwiejna.
Czyż byłbym myślał w tych czasach zawrotnych
Złudy, że miłość będzie beznadziejna,

Że błoga senność krążąca przez żyły
Ocknie się bólem wiecznym, nieuchwytnym,
Paląc jak nikłe, w oko wpadłe pyły.
Życie jest tylko tumanem błękitnym...

Z nim krążym. Śledząc gwar nocy z uwagą
Zdawało mi się, że słyszę szmer źródeł
Kojących. Las w pień gałęzią bił nagą,
Jakby kaleka stukał drewnem szczudeł.

Światło księżyca wznosiło i kładło
Po górach snopy promieni lub szklanną
Taflą po stokach świeciło i bladło,
Jak gdyby rosę składało poranną.

Wtedy w połysku drżał zarys postaci
Jasnej naszego anioła i stróża,
Co zmarł. Zamyślam się jak ktoś, co straci
Wiarę w cud i dłoń w płomienie zanurza,

Gdy chce źdźbło spalić... W tych czasach szczęśliwych
Przeczuć, drżeń serca jedyną pieszczotą
Była wymowa oczu przenikliwych,
Jak tknięcie ręką w nić rozpiętą, złotą.

Byłaś za młoda i z próżnem pytaniem
Czuwałem dniami u tego wezgłowia
Zbudzonych tęsknot a z tak cichem łkaniem,
Jak przy skazanych, co wrócą do zdrowia.

Czyż byłbym myślał w tych czasach zawrotnych
Złudy, że sen mój będzie beznadziejny,
I po dniach całych daremnych, samotnych
Ocknie się, chyląc twarz swą jak kłos chwiejny,

Że błoga niemoc krążąca przez żyły
Przemienieni się w ból wieczny, nieuchwytny
W sercu gryzące zostawiając pyły...
Bo życie to wir tumanu błękitny.

Jak młode bóstwo rozkochane w śmiechu,
Wiązałaś życiem bez wiedzy i troski,
A twa powaga ogromna w pośpiechu
Oczekiwania — jak wieniec, co boski

Posąg oplata, lecz byłaś za młodą...
Jam czuwał przez dnie gorzkie u wezgłowia
Zbudzonych tęsknot ze złudną nagrodą,
Że może wrócą mdlejący do zdrowia.

Dzisiaj Ci wyznam, że wkoło twej głowy
Girlandą światłość krążyła ochronna
— Takie widzeniem miewał — i żar mowy
Tłumiąc... wołałem Cię w duchu „Madonna“:

W tej okolicy skalistej, gdziem chwile
Samotne pędził, by stłumić wzrost żalu,
Chciwie topiłem niecierpliwość w sile
Zawodu, co tkwi jak ziarnko koralu

W sercu. — U jednej góry słup z granitu
Stał jak modlitwa uwielbień lub troska,
I zdala rzeźbił się na tle błękitu
Jak z złożonemi dłońmi Matka Boska.

Tam nieraz snułem pragnienia i w mroku,
Co mnie zaskoczył, widziałem w zachwycie
Twe czoło z wieńcem ziół i prośbę w oku
O Ty stracona, kamienna... w błękicie.

W noc uroczystą, o miła! podobną
Do tej, co szczęścia porwała nas wirem
Nieukojonych, zdumionych ozdobną
Siatką z płomyków utkaną nad kirem

Przestrzeni... z chciwą łowiłem uwagą
Szum wodospadów, szmer kojących źródeł,
Las bił jak zegar w pień gałęzią nagą,
Jakby kaleka stukał drewnem szczudeł.

W zorzy miesiąca drżał zarys postaci
Smutnej naszego anioła i stróża,
Co zmarł... Zamyślam się jak ten, co straci
Wiarę w cud, i dłoń w płomieniach zanurza,

Bo chce źdźbło spalić, że w owych szczęśliwych
Godzinach przeczuć... jedyną pieszczotą
Była modlitwa oczu przenikliwych,
Jak tknięcie ręką w nić rozpiętą, złotą.

ASTARTE

Dla Twego głosu i przez Twoje imię
W każdej niedoli widziałem zwiastuna,
Co przeciw losom niósł czoło olbrzymie,
I z chmur jak z zmarszczek ognistego runa

Składał proroctwa i zwiastował żądze.
Gdy przepowiadał był jak Bóg!... Wyrazy
Jego paliły od pulsu gorące,
Bo nim wydzwaniał Twe imię bez skazy.

Twoje to ręce na krzyż rozpostarte
Bólem wabiły mnie w światy olbrzymie.
Mam serce pełne miłości... Astarte!
Dla Twego głosu i przez Twoje imię.

Słońce zachodnie rozpala Twe oczy
I krzyż ogromny z chmur krwawego runa.
Przez Twoją wielkość jak przez znak proroczy
Widziałem w każdej niedoli zwiastuna.

Jego to ręka krąg szału zawiodła
Wokoło na krzyż złożonych dwóch kości,
Jakby tan wieczny losu wokół godła
Miłości...

OJCZE NASZ

Ojcze nasz, który wznosisz dłoń nad nami,
Dłoń przeźroczystą jak ogrom powietrza
Naprzemian brylant słońca i gwiazd ognie
Zwracając ku nam z olbrzymich pierścieni,
Święć się Twe imię dla spokoju duszy...
Święć się Twe imię jako kres pragnienia.
Upokorzonym przebaczasz przez niebo
Jakby w cel jeden wyciągając ramię
I dłoń, co igra błyskami pierścieni,
W cel wiecznej zgody i rozwijasz wstęgę
Z napisem jak na drogowskazie w górze:
„Bądź wola Twoja" — Mam kościół mój skromny,
Gdzie zawsze klęczę zmęczony bezmiarem
Przybytku Twego. Tam idę bić czołem
Wiecznym płomieniom nim ściany przepalą
W spieszącem sercu. Przez żar jest Bóg blizki.
Przez niego noszę miłość, wstyd i zazdrość

W cierpiącym duchu, w nim źródło jest pychy
I świadomości gorycz, lecz, że z bólu
Nieugaszonych żądz jasno się widzi,
Więc nie zbaw mnie od złego.

* * *

Cudowną upojeń moc
Ach, Bóg Ci dał tak wcześnie,
Jakby duch codziennie w noc
Rozbudzasz lub nękasz mnie we śnie.

Bo Twoja cudowna moc,
Co Bóg Ci dał tak wcześnie,
Ze w głuchą, ponurą noc
Przepadasz i wracasz znów we śnie.

Z niedomówionych mych słów
Podajesz treść do pieśni
Wiodącej do błogich snów,
Lecz znikasz mi w każdą noc wcześniej.

Cudowną upojeń moc
Ach Bóg Ci dał tak wcześnie,
I jak duch w samotną noc,
Powracasz i żyjesz, lecz we śnie.

ZE ŚWITEM

Do mego posłania przypływa o świcie
Łagodna jutrzenka, zstępuje jak z schodu
I twarzą marzącą nachyla się skrycie
Wchodząc jak do miejsca letargu i chłodu.

Czy rączka przejrzysta do mnie się przekrada,
Co tam otworzyła w oddali dnia wrota?
Gdy bliżej postąpi jak w fałdach zapada,
A tylko szeleści na dworze jak słota.

Co chce świt odemnie — myślałem — i trwożne
Światło ze zmian nagłych do westchnień podobne?
Tak w życiu mem ręce zbliżałem ostrożne
Do widm, co zwiedzały miejsce me osobne.

Co chce głos uparty i brzmiący wśród ciszy
Jak bieg, co ze serca przez świat się oddala?
W ten szmer się wsłuchuję jak ktoś, co dosłyszy
W ciemności, że była i przeszła już fala.

Gdziem stracił te słowa, co raz łamiąc ręce
Rzuciłem tak śmiesznie pustce w twarz w porywie,
A dzisiaj nieśmiałej, wschodzącej jutrzence
W łzach szepczę, że czekam... czekam tak cierpliwie.

VI.

ZE SMUTNYCH DNI

ZWRACAM BEZMYŚLNIE OCZY...

Kiedy po długiej, sumiennej uwadze,
Co ludzi słowa śledziła potoczne
Trudząc się, żeby w duszach zbudzić władzę
Mieniącą w mądry plon siewy doroczne,

Na pół rad z pracy szepnę: „Dziś odpocznę",
Jak o rój chciwy ós nagle zawadzę,
Tłumy mnie zmyśleń opadną bezwłoczne
I z wrzawą pędu wszystkie w blask prowadzę.

Bezsilny jestem, odtrącam ponure
Twarze, gdy w obręcz zamkną mnie szyderczą,
I więzy pustki rwę z okrzykiem: „W górę",

Lecz w utęsknieniu do złotej przystani,
Porwany burzą wędrówki probierczą
Zwracam bezmyślnie oczy ku otchłani.

WIDMO

Stłumiony odgłos kroków, co przy ścianie
Jak w śnie słyszałem, wprowadził tok mgławy
Mych marzeń w żywszy zarys i obawy.
Zwolna, jak czucie, co drzemało w ranie,

Zbudziła się myśl... Ujrzałem zebranie
Żałobne w domu, gdy ludzie wśród wrzawy
Szeptali spiesznie, jakby chcieli sprawy
Ważne zataić lub śledzić wzdychanie

Usypiających. — W taki sam dzień... parny
Skonała nagle. Pamiętam grobową
Ciszę, szept osób, w dali dzwon pożarny.

Widmo, co dziś mnie nęka nizko... w chmurze
Na wznak spoczywa z przechyloną głową,
Usta łaknące, otwarte i duże.

JEST W TRWOŻNEM MEM SERCU...

Jest w trwożnem mem sercu ból ostry, są ciernie,
Są biało kwitnące, rozrosłe niezmiernie,
Jest wianek, co człowiek znękany, rozumny
Ze zgrozą by złożył u stóp do mej trumny.

Lecz ostre te trwogi, te kolce z korali
To starzy znajomi, szydzący, niedbali,
Dłoń ku nim witając z uciechą podnoszę,
Są z twarzy przyjaznych prawdą mi najdroższe.

CIERPLIWOŚĆ JEST JAK POCHYLENIE KŁOSU

Dla pokrzywdzonych złem zimna i głodu
Będą na łąkach niebieskich przestrzenie,
Kędy kalekę podeprą u schodu
Wniebowstąpienia zamiast kul promienie.

Tam przerywanym z zmęczenia oddechem
Powiedzą sobie dzieje swej pogoni
Za widmem próby w krąg patrząc z pośpiechem,
By chwil nie wspomnieć i załamań dłoni.

Cierpliwość jest jak pochylenie kłosu.
Ciężko być zgrzytem ochrypłego głosu,
Co szuka siły w szalonym popłochu

Serca — i z wiary dobywać pomocy
Jak te postacie przededniem, co w prochu
Pragną spokoju ślad znaleźć i nocy.

O PRZYJDZIE DZIEŃ SKRUCHY...

Dziś był na równinie blask wielki. Południe
Błyszczało światłami jak pożar ze słomy.
Spoczynek nas czeka, więc strach żyć odludnie.
Kurz gnąc się zbiegł z drogi przed ciche dwa domy.

Los dobry z za skrętu spoglądał jak żywy.
Jakby ktoś ze skargą spieszył przerywaną,
Tak cichł turkot wozu. Nasz krok jest cierpliwy,
Lecz w śnie na powiekach wychodzim już rano...

Przededniem niepokój zaskoczył mnie w domu.
Noc przeszła tak wolno, jak z groźbą zły człowiek.
Nim spadnie ma skrzydła na niebie moc gromu,
Te miała ta szara godzina miast powiek.

Przeciąga się rano jak kot olbrzym świata,
Snu strzępem się bawi na ostrym pazurze
Lub wzrokiem niezmiernym majaczy i lata,
Tak pacierz swój ranny spisując na murze.

Lęk przeczuć mnie naszedł przededniem gromadnie.
Z dniem blednął, lecz czekał jak kamień bezczynnie,
Tak jest nad otchłanią, gdy wir ścian wzrósł na dnie,
Tak pusto... gdy ślepy deszcz liczy czas w rynnie,

Jak tętno wysiłku. O przyjdzie dzień skruchy,
Dłoń starga głaz w palcach, by przesiać garść piasku.
Poważne szkielety szukając otuchy,
Ze szczękiem poklękną przy świętym obrazku.

SEN

Zdawało mi się, żem jest nieszczęśliwy,
Że łkam gorąco nad nędzami ludzi,
I że ze drżeniem jakby człek sędziwy
Budzę... uzbrajam, kto tylko się zbudzi.

Bo spało wielu... W mej wędrówce głuchej,
Łudzony wiecznym snem zmarłych, na groby
Chodziłem i tam tęskniąc do otuchy
Pragnąłem wieka uchylać żałoby.

Miałem tam drogich... W gorączce i znoju
Szarpałem głazy pytaniom zadumy
Odpowiadając, że pragnę spokoju,
Com to żyjące nim uzbroił tłumy.

I jakże dziwnym jest sen, że gdym młody
Był niegdyś — zdało mi się — żyłem w ziemi,
Gdzieśmy przecudne zwiedzali ogrody
Z kochaną wchodząc bramami złotemi.

Ona tchórzliwa, nieszczera wnet zmarła,
Nie żałowałem jej. Otóż dziś stary...
Dzisiaj się miłość moja rozpostarła,
A tylko płaczem, jak gdyby dla kary.

Więc uśpionego dzisiaj budzi stara,
Siwa umarła — śni mi się — za rękę
W świat mnie prowadzi... Z krokiem każdym mara
Ukochań moich blednąc budzi mękę.

I byłem mały, nie wierzyłem sobie,
Ani w mą miłość, ani mej litości,
Mej przewodniczki, gdy znów nikła w grobie,
Postać się w szkielet przetarła i kości.

Zdawało mi się, że świat nieszczęśliwy,
Że łkam gorąco nad nędzami ludzi,
I że ja drżący jakby człek sędziwy
Budzę... ukajam, kto tylko się zbudzi.

Wkońcu samotny upadłem na ziemi
Ze łzami — wtedym się zbudził. — Dziś swady
Mi nie brak... mówię, ale ludzie niemi
Muszą mieć chwile buntu... i bez rady.

ZE SMUTNYCH DNI

Niemą Ci miłość przynoszę dozgonną,
Jak silny pierścień. Dobędę z Twej wiary
Całą potęgę stroskania bezbronną
Na dzień upomnień i dla cichej kary.

Jesteś jak mniszka, bez żalu do świata,
Bez trwóg, by odkrył ślub Twego zakonu.
Dzisiaj Twa radość ze światłem dni lata
I wraca z głosem wieczornego dzwonu.

Ciekawy jestem, boś zawsze zajętą
Niezmiernym trudem dobroci, czy marzy
Twa myśl o szczęściu? czy bierzesz na święto
Wieniec na głowę lub odblask z ołtarzy?

Jesteś jak rosa, co pada na dłonie
Prac i zmęczenia. Dobędę z Twej wiary
Pamięć dobrego... żywą jak głos w dzwonie
Na dzień upomnień i dla cichej kary.

Między życzeniem a pustem dnem grobu
Jest ta różnica, co między wyrazem,
Gdy go zapisać nie mamy sposobu,
A malującym ten wyraz obrazem.

Jesteśmy jak krok tłumnego pochodu
Do miejsc zdarzenia, prędki i niezgodny.
Trza nam wysokość przystawiać do schodu,
Co stoi równy, w grunt wrosły i chłodny.

Gdy słońce tryśnie z poza chmur roztwartą
Ręką promieni albo okiem szpary
Gaśnie w mgle patrząc jak blizną rozdartą,
Wtedy się zwracam do Twej dobrej wiary

Z tem światłem — boś jest jak łan zbóż, gdzie kłosy
W noc oczekiwań chylą się cierpliwe,
A w dali leżą nadzieje i losy
W pyle, związane dolą i nieżywe.

NA DZIEŃ ZADUSZNY

Weselem cieniów, jak dłońmi, powietrze
Rzucone w pościg iskier miejsc słonecznych
Pada, szerzy się, zda się, że blask zetrze
I oderwane z ziemi kręgiem wietrznych
Skrzydeł — spoczynku szuka drgając w sieci
Plam i powraca, zabiega i świeci.

Tak mnie obudził ów dzień uroczysty,
Co na szron pierwszy dorocznie przypada
I schodząc z czasu siedziby wieczystej
O nieżyjących u drzwi opowiada:
„Tylu dosięgnął zgon wczesny, niesłuszny,
Lecz dzisiaj żyją zmarli... w dzień zaduszny".

Z trudem zebrawszy myśli wnet w codzienne
Popadłem próby dociekań, leniwie
Witając nowy dzień, co mi niezmienne
Przynosił chwile..., a może szczęśliwie
Stłumię zwątpienie mej myśli bezkarnej,
Lub cud dziś ujrzę na drodze cmentarnej.

Czas nam w dniu każdym wywiesza purpurę
Swego sztandaru zwycięstw i zagadki.
Tam obojętność mą widzę jak górę...,
Tam wyjść... wschód każdy widny jak szkło gładki.
Lecz dzisiaj pójdę przeczuciom posłuszny,
Obejdę cmentarz, bo dziś dzień zaduszny.

Groby są dziwne, każdy jakiś różny,
Jakby umarłych przybierały rysy.
Czasem cień padnie wszerz, drugi podłużny
Tworząc krzyż, nad nim blask żłobi napisy.
A gdy wiatr raźniej przepędzi powietrze,
Zda się, że cienie i groby w pył zetrze.

Na dzień zaduszny budzim się zawczasu
I świat w nas patrzy bystro i rozumnie,
A każdy odgłos rozmów i hałasu
Dźwięczy jak echo gród ziemi na trumnie,
Więc na szmer każdy duch się niecierpliwi,
Jak gdyby bał się, że żyją nieżywi.

Z tym wirem uczuć stałem przy mogile,
Kędy zwisały niteczki pajęcze
Jak zmarszczki czoła tonącego w sile
Rozmyślań — dalej na grobie obręcze
Światła wśród cieniu jak dołki..., z oddechem
Wstrzymanym stałem przed tym przykrym śmiechem,

Aż prysła mara, podniosły się kręgi,
Dojrzałem oczu pałające jamy;

Wtedy mi na myśl przyszło, że potęgi
Złudzeń — jej przyczyn trza szukać w niej samej,
I rzekłem głosom wewnętrznym posłuszny:
„Zmarli nie żyją, choć dziś dzień zaduszny“.

Domysłom naszym, co stoją na straży
Spokoju — i w złem bronią nakształt tarczy,
Śmierć przeciwstawia głąb lodowej twarzy;
Czy nam w godzinę tę spokój wystarczy?
Domyślność nasza tę szalę przeważa.
Tak myśląc, do bram doszedłem cmentarza.

Tu tłum spotkałem..., świeży zgon. Po drodze
Przeszli jak mary, dopiero po chwili
Doszły mnie śpiewy stłumione. W mej trwodze
Czułem, że dociec ciekawość się sili,
Czy kogo zabrał zgon wczesny, niesłuszny
I któżby umarł dzisiaj... w dzień zaduszny?

Tak brnąc z uporem przez ten wir zwodniczy
Ciągłych zapytań... wywiodłem zeń wnioski,
Że wciąż zgadując umysł nasz nie liczy,
Że ma odpowiedź w każdej chwilce troski
I wreszcie wniosek wywiodłem podobny:
„Dziś dzień był zwykły, choć dzień to żałobny“.

Lecz w dzień zaduszny widzimy zawczasu
Przyszłość. — Świat patrzy bystro i rozumnie
A każde echo rozmów i hałasu
Dźwięczy jak odgłos gród ziemi na trumnie,

Więc na szmer każdy duch się niecierpliwi,
Jak gdyby bał się, że żyją nieżywi.

Tak mnie zamyślił ów dzień uroczysty,
Co na szron pierwszy dorocznie przypada
I schodząc z czasu siedziby wieczystej
O nieżyjących ludziom opowiada,
I nieraz chęci dociekań posłuszny
Pytam, czy żyją zmarli w dzień zaduszny?

DE PROFUNDIS

Wynosząc z głodu szczęścia, z pod rąk pieczy,
Uśmierzającej gorzki bunt niechęci,
Ból marnych draśnień, jakich czas nie leczy,

Omijam chwile utkwione w pamięci
Głuchą bojaźnią drobnych ran i wstrętu,
Gorszych od wielkich mąk, co czas uświęci.

Do smug błękitnych, ku cudnemu świętu
Niewinnych uczuć i przebaczeń chętnych
Dążąc napróżno wynoszę z zamętu

Nieznośny ciężar myśli obojętnych
I przedsmak grobu myślom dobrej woli
Żyjącej czystem źródłem dni pamiętnych.

Nużąca ciągłość i świadomość roli
Ustępstwa na rzecz mierności i zgody
Wkońcu zabliźnia się i tylko boli.

Rozpacznym rzutem do wyżyn swobody
Podniósłszy ducha, żelazne uściski
Przeszkód pokruszę, wyśnię cud nagrody

Za szept zwodniczy wahania kołyski,
Za niespełnioną obietnic tajemność
I za wabiące złudnych szkieł połyski.

Wyśnię bezmierną, przepastną wzajemność
Wszystkich porywów, co zwiodły mą duszę
I płynąc w miłość, w otchłań senną... w ciemność

Resztę pęt, co mnie raniły, rozkruszę.
Z miłosnych wzruszeń i z łaknień pieszczoty
Wygnawszy próżną gorycz i katusze,

Snując jak perły niedościgłe wzloty
Pokus — raj wyśnię, gdzie szepcze do ucha
Wieczne przysięgi rwący głos tęsknoty,

Skąd przepaść śmierci zorzą cisz wybucha.

WIECZÓR NAS ZASZEDŁ...

Wieczór nas zaszedł jak tkliwa opieka,
Co uspokaja cierpkich słów wybuchy,
Jego zmęczona, wpółzwarta powieka
Życzy na jutro nam więcej otuchy.

Już nie wracajmy do uraz i gniewnych
Stłumionych uczuć. Niech myśl niecierpliwa
Złośliwej nudy i wzbudzeń niepewnych
Współczucia — nici złotych nam nie zrywa.

Cel dobrych starań znużył nas. Zamknięta
Przystań, — lecz zważać nie będziem i skromnie
Udamy się tam... w gościnny dzień święta,
Jak biedni, dążąc ku łasce przytomnie.

O mocy wielka spokojnego serca!
Chociaż nas trudził czas przykry, powolny, —
— Jak lekką stopą przez puchy kobierca
Po dniu niepewnym uwagi mozolnej

Zaszedł nas wieczór i tkliwa opieka,
Co uspokaja cierpkich słów wybuchy;
Jego zmęczona, wpółzwarta powieka
Na jutro wróży nam więcej otuchy.

SPIS RZECZY